

Norwid dla wszystkich

Wydanie Norwida było od długich lat piękną potrzebą naszej historii literatury. Prawie nieznanego za życia poety odkryto pod koniec XIX w. i zaczęto wysoko cenić. W umysłach zaczęło się ustalać przeświadczenie, że Norwid w hierarchii poetów polskich idzie zaraz po trzech wieszczach. Sąd ten jednak pochodził jedynie od grupy wtajemniczonych. Szerokie koła wykształconego społeczeństwa przeważnie przyjmowały go na ich dobrą wiarę. Ten czytał jeden z poematów lub dramatów, tamten inny. Trzeci natknął się gdzieś w piśmie literackim na jakiś odgrzebany z pyłu zapomnienia wiersz czy fragment wiersza. Imię Norwida było raczej hasłem umownym, niż słowem, mieszczącym w sobie treść bogatą. Albowiem pisma jego częściowo istniały w wydaniach osobnych, ogółowi trudno dostępnych, częściowo leżały w rękopisach.

Głównym pionierem sławy Norwida był Zenon Przesmycki (Miriam), który zasłużył się drukiem szeregu jego utworów w „Chimerze”. On też wziął na siebie zadanie dostarczenia polskiej publiczności czytającej wydania zbiorowego. Wyszły z zapowiedzianych ośmiu tomów — trzy. Rozumiano, że p. Przesmycki nie mógł dokonać podjętego dzieła w ciągu roku lub dwóch, bo rękopisy i pierwodruki trzeba było zbierać i kolacjonować. To też czekali cierpliwie.

Lecz wszystko ma swoje granice. Od pierwszego tomu wydania Miriam mijają ćwierć wieku, ale dalszy ciąg nie następuje. Natomiast w latach ostatnich ogłoszono z rękopisów szereg nieznanych lub tylko fragmentarycznie znanych utworów.

Najwidoczniej zapał i energia p. Przesmyckiego z latami osłabły i zaczął on grać smutną rolę człowieka, który sam czegoś nie robi i drugiemu nie pozwala robić. Dzisiejszy członek Akademii Literatury woli „w uwied-lych laurów liść z uporem stroić głowę”, niż dotrzymać obietnicy z przed ćwierć wieku i uwiecznić resztą tomów swe cenne, ale do przedwczoraj należące prace nad Norwidem...

I doczekał się, że wyreczył go Ktoś inny. Wychodząca w Warszawie „Biblioteka poetów polskich” ogłosiła ogromny tom, zawierający całą dostępną poetycką spuściznę Norwida. Pewne, niedostępne w danej chwili utwory tu nie weszły, ale braki te są drobne i wypełnienie dotkliwego braku stokrotnie je równoważy. Inaczej czekalibyśmy drugie ćwierć wieku...

Już nie tylko uczęszczający do bibliotek polonista, ale przeciętny czytelnik książek może teraz czytać Norwida i wyrobić sobie o nim sąd własny. Ale historyk literatury lub młody człowiek przygotowujący się do tego zawodu, będzie wdzięczny Bibliotece Poetów Pol-

skich i jej redaktorowi prof. Tadeuszowi Piniemu, gdyż istnienie zbiorowego wydania poezji Norwida zaoszczędzi mu wiele czasu. Inna rzecz szperać po katalogach, zachodzić w głowę, gdzie czego szukać i wertować roczniki starych czasopism, a inna rzecz sięgnąć na półkę po książkę, w której wszystko już jest zebrane.

Jak ogłoszone już przez Bibliotekę dzieła Słowackiego i Krasińskiego, tak dzieła Norwida mają prawdziwie piękną formę zewnętrzną, gdyż wyposażone są w podobizny autografów i rysunków Norwida, a cena olbrzymiego tomu, o-prawnego w półpłótno, wynosi zaledwie 8 zł. 80 gr.

Weszła tu i część prozy Norwida, ale artykuły, notatki i listy wydają zapewne w drugim tomie, nieco mniejszym co do objętości.

Publikacja jest rzetelną zasługą Biblioteki i zasługuje na tem większą wdzięczność, że żyjemy w czasach, w których wielką literaturę przeszłości zajmuje się garstka wybranych, a szerokie koła społeczeństwa, jeżeli wogóle czytają, to współczesną tandetę, niiby oryginalną i tłumaczoną, a nie wiedzą nawet, jakie skarby, będące tworem naszego ducha, ma naród polski w swym dorobku. Oby to wydanie Norwida dało początek nawiązaniu bliskiego kontaktu między owymi wybrańcami a społeczeństwem, między dnem dzisiejszym a przeszłością naszej kultury duchowej.

Splaciwszy należny i rzetelnie zasłużony dług wdzięczności, trzeba spełnić przykry obowiązek i wytknąć to, co w książce razi. Prof. Pini jest bystrym i zasłużonym krytykiem, lecz ma swoje uprzedzenia — i zdaje się, że na liście tych uprzedzeń pierwsze miejsce zajmuje właśnie... Cyprjan Norwid. Takie wrażenie musi wzbudzić wstęp biograficzno-krytyczny, poprzedzający teksty. P. Pini jest zresztą szczery, mówi bowiem: „Wydanie niniejsze powstało wyłącznie z obowiązku dostarczenia prenumeratorom Biblioteki Poetów Polskich tych dzieł wybitnych, tak glo-

śnych i poszukiwanych, a nie znajdujących się w handlu księgarskim”. A więc istniało tu tylko poczucie obowiązku, a nie było uczuciowej potrzeby, nie było uczuciowego stosunku wydawcy do autora...

A raczej był taki stosunek, ale o widocznym charakterze negatywnym. Prof. Pini żywi do Norwida żywą antypatię i nie przyznaje mu na Parnasie polskim miejsca, jakie mu naogół dotychczas przyznawano. Sąd swój popiera przykładem, które trudno tu rozpatrywać. Wystarczy powiedzieć, że zarzuca Norwidowi jako autorowi poematów epickich i dramatycznych — brak akcji, jako lirykowi — brak uczucia, jako myślicielowi — brak oryginalności, jako stylisty — niejasność i zwyrodnienie języka pod wpływem długiego pobytu zagranicą, jako człowiekowi, zajmującemu się zagadnieniami polityczno-społecznymi — wścizństwo.

Każdy z tych zarzutów ma pewne uzasadnienie, ale wszystkie są wyolbrzymione. Najlepsze utwory dramatyczne Norwida (n. p. Krakus) nie są pozbawione akcji. „Kleopatru” trudno pod tym względem ocenić, gdyż jest fragmentem, ale niepodobna zgodzić się, aby jej czytanie było „przykrością”. Trudno wymagać żywej akcji od poematów filozoficznych. Liryka jest podwójna — uczuciowa i refleksyjna, w tej drugiej właśnie celuje Norwid. Myśli jego bywają nieraz bardzo oryginalne, ale i tam, gdzie powtarza coś, co już przed nim powiedziano, umie starać się odziać w nową formę. Jego „łamiągów-ki” oplaci się rozwiązywać, gdyż pod twardą łupiną kryje się zazwyczaj zdrowe i pożywne ziarno. Łatwy nie jest, ale też trzeba pamiętać o fragmentaryczności i braku wykończenia znacznej części jego utworów, które przypominają z trudem wydobywające się z bryły postaci Rodin’a. Niepoprawnym językowo Norwid bywa, ale któremuż z poetów romantycznych nie można tego zarzucić? Wyrazów żywcem zapożyczonych z obcych języków zamiast

rdzennie polskich używa najczęściej celowo. Zdaje się, że o całym stosunku uczuciowym prof. Pini do Norwida rozstrzygnęły właśnie religijno-społeczne zapatrywania poety. Można je dzielić lub ich nie dzielić, ale należy szanować.

Rejestrowi stron ujemnych twórczości Norwida powinienby, jak w porządnej książce handlowej, odpowiadać przegląd jej zalet. Nikt chyba autorowi „Kleopatry” nie odmówi, że jest mistrzem ironii, że zadziwiał obrazowaniem i że ma rymy godne Słowackiego. Dałoby się na ten temat więcej powiedzieć, ale dotykam tylko trzech rzeczy, które najbardziej rzucają się w oczy.

Wstęp krytyczny do Norwida powinienby mieścić jeszcze jedną rzecz, określenie jego stanowiska pośród poetów epoki — niekoniecznie z przyznaniem mu lokacji pośród nich, ale z analizą jego stosunku do istniejących prądów. Bo Norwid był romantykiem, ale nie takim czystej krwi romantykiem, jak n. p. Słowacki i trudno nabrać o nim właściwego pojęcia, jeżeli nie zdamy sobie sprawy z klasycznych pierwiastków w jego poezji.

Niedobrze, gdy o autorze pisze zafascynowany entuzjasta, który wszystko usprawiedliwi i każdą wadę przemieni w zaletę. Ale odwrotny wypadek jest jeszcze gorszy. Byłoby lepiej, gdyby napisanie wstępu powierzono komu innemu. Jeżeli zaś to było niemożliwe, p. Pini powinien był się ograniczyć do podania faktów z życia poety (bez komentarzy, które również tchną czasem uprzedzeniem) i do notatek bibliograficznych.

Spełniłem przykry obowiązek, wytykając te rzeczy, ale należało ostrzec czytelnika, że wstęp prof. Pini, to nie synteza poglądów krytycznych, ale jeden głos w dyskusji nad poezją i myślą Norwida. Z tem zastrzeżeniem można wydawnictwo Biblioteki Poetów Polskich powitać jako rzetelną zasługę kulturalną i gorąco polecić publiczności.

Jan Szarzyński

O Maryli Wolskiej

Zamieszczamy poniżej fragmenty ze wspomnień o Maryli Wolskiej, wyjęte z wydanego niedawno dzieła Michała Pawlikowskiego „Okna”.

Rad.

W czasie kiedy poznałem Marylę — nie piszę tak dlatego, abym uznawał tytułowanie zmarłych poetów per Adam i Jufusz, ale dlatego, że tak do niej mówiłem — była ona w okresie swego życia, w którym obok dojrziałych, skończonych rysów zalegały różne naleciałości zewnętrzne, które, choć nie bez wpływu na jej późniejsze życie, następowały niejako walcząc z niemi głębszej praw-

dzie wewnętrznej.

Trzeba sobie uprzytomnić, że młodość jej upłynęła w atmosferze epoki poromantycznej artystów, dla których wyrocznią był Kaulbach i Delaroche, że wspomnienia Grottgera takim, jakim był jako artysta, a nie takim, jakim mógł być jeszcze (o czem świadczy jego impresjonistyczny paryski szkic „W pracowni”), i zawsze tragiczna, choć pod powierzchnią pogodnego życia domowego usunięta po nim żałoba, owiewały jej młodość. Należy pamiętać, że chrzestnym jej ojcem był Kornel Ujejski, że serdecznym przyjacielem rodziców był Matejko, a

codziennymi gośćmi w czasach jej dzieciństwa wszyscy ci „rodacy” z powstania i emigracji. Z tej młodości wyniosła Maryla Wolska żelazny kapitał obyczajowy i ideały narodowe, który nad nią świecił, zwłaszcza w ostatnich jej latach — ale wyniosła także, z form zewnętrznych otoczenia i poglądów, pewne strony ujemne: najpierw pewien dramatyczny pesymizm, którego nie mogło zrównoważyć pogodne usposobienie jej ojca ani odporny i czynny charakter jej matki. — Drugą szkodą tej atmosfery był pewien eufemistyczny kult zewnętrznego piękna, przez którego szminę trudno się

było doskrobać nieraz do własnej prawdy i do prawdy drugich, pewne nagiecie do koturnu i pozy. — Były to jakby dwie warstwy dymu, które przesłaniały oczy Maryli.

I ten dopiero, który sobie z tego zdawał sprawę, zrozumieć może i ocenić całą siłę duszy Maryli Wolskiej, która z głębin najistotniejszej swojej natury przez tę powłokę świeciła i wybuchała ogniem słowa i czynu.

Później przyszedł na tego mego towarzysza ciężkie dopusty podczas wojny, — zamęczono jej syna — i inne spotkały ją ciosy — a ja byłem wtedy daleko. Po wojnie, kiedy się na nią waliło jedno po drugim, kiedy po sześciu miesiącach dogorywania, w którym ratowaliśmy go dzień i noc, umarł jej ukochany mąż, w pół roku później matka, a potem syn najmłodszy — kiedy zwała się na nią prawda ciężka, wobec której żaden wyimaginowany smutek nie nie znaczył, starałem się robić, co mogłem, aby utrzymać Marylę w zdrowiu i pogodzie ducha. Ale było to coraz trudniej. Była już wtedy moją teściową. Pamiętam tak żywo, jak nie mogąc sama dać rady swemu sercu, wrażliwemu na własne biedy i troskę w sprawie publicznej, i swojej skołatanej myśli, przychodziła skubiąc mnie za rekaw i prosiła: „Pociesz mnie!“. — Kiedy nieraz perswazje nie pomagały, bywałem z rozmysłu szorstki, o co miała czasem żal do mnie, ale potrafiła to zrozumieć jako dobre lekarstwo w połączeniu z oczywistą dobrą intencją. Pisała mi z Odnową: „Dobrzeby tu było, tylko brak bardzo Twego głębinnego ciśnienia“.

Niestety i na mnie przyszedł czas, jeżeli nie zwątpienia, to zmęczenia własnymi kłopotami i nie zdołałem dotrzymać i pocieszyć ją w trosce o sprawę publiczną, która ją dobiła. Przeszło po niej życie, i z tego nalotu literackiego nie pozostało ani śladu, a gdy się zupełnie rozwiął, okazało się dopiero, jak głęboko, jak poważnie i gorąco czuła.

Czy jest dziś kto drugi, kto by zginał z rozpacz o sprawę publiczną? A ja świadczę, i my wszyscy jej bliscy — że tak się stało. Starałem się, jak mogłem, zło, które widziałem, bagatelizować w perspektywie siły czasu i zdrowej odporności polskiej duszy narodowej, — ale nie potrafiłem jej przekonać. Za wiele złego doznała od losu i była jak dziecko nieobronne i nieporadne wobec tego straszego świata.

Na tej płaszczyźnie dopiero urasta jej najbardziej rycerska dusza do właściwej miary: mimo tej bierności wewnętrznej i nieobronności, była na zewnątrz do ostatka niestłuchanie czynnym szermierzem sprawy narodowej i wogóle każdej słusznej sprawy. Dla dogodzenia sprawiedliwości i przysłużenia się innym zawsze miała czas i ochotę. Napisała anonimowo stokilkadziesiąt nekrologów, występując w obronie pamięci tych, którzy już sami bronić się nie mogli, miała swoje miłosierne dróżki po Lwowie, i nie znam wypadku, aby się była nie podjęła czegoś dla dobrej sprawy. Mimo mojej o tyle większej odporności wewnętrznej i mimo, że byłem o 14 lat młodszy, nigdy nie umiałem się zmontoować do napisania jakiegos zasadniczego artykułu w ten sposób jak ona, a siłą jej wyrazu, ciętość i pewność uderzenia zostały jej do końca.

W ostatnim roku, pozatławiwszy różne sprawy dla drugich, napisaawszy jeszcze kilka anonimowych nekrologów i różnych świadectw o żywotach bliskich i znajomych dla złożenia ich w rękopisach po archiwach rodzinnych, po-

wiedziała, że teraz dopiero zabierze się do mówienia o sobie. Nie zdążyła. A my nie umiemy tak pisać o drugich, jak ona.

Nie byłem przy jej śmierci, przyjechaliśmy do Lwowa zapóźno. Ale zdążyła dodać jeszcze jedno słowo. — do wszystkich, które od niej słyszałem — jeszcze jedno słowo dla mnie, nieme, które mnie wzruszyło do głębi.

Trzeba wiedzieć, że zarówno syn jej w Perepełnikach, jak i my, dwaj ziemowle, ziemianie, borykaliśmy się ciągle z kłopotami finansowymi, że jej własny dom, — który gotowa była każdej chwili córkom oddać, niczego nie chcąc dla siebie, prócz kąta, — wymagał tylko wielkich wkładów. Dlatego nieraz, choć miała zaopatrzenie, brakło jej najskromniejszej gotówki, a widząc nasze kłopoty, za nic w niczem nie chciała nam ciężać. Zadowalała się swymi nad wyraz skromnymi honorariami autorskimi, często z nich rezygnując dla sprawy pisma, publikującego jej artykuły.

Otóż wyszła właśnie moja „Harfa

Eola“. Tak się cieszyła tą skromną książką, jak żadną swoją własną. Naturalnie miała swój egzemplarz, i gdyby była zażądała, byłbym jej posłał więcej. Wiedziała jednak, że do wydawnictw Biblioteki Medycznej dokładam. Chciała przecie koniecznie zrobić mi reklamę. I oto znalazłem na stole przy jej łóżku pięknie zapakowany, z księgarni przyniesiony ostatni jej sprawunek: dwa dla kogoś przeznaczone egzemplarze „Harfy“, kupione bez rabatu za jej własne, tak skromne fundusze.

Został w spuściźnie po Maryli Wolskiej jeszcze dobry tom wierszy w rękopisach. Został ponadto rękopis, który będzie kiedyś rewelacyjnem wydawnictwem, zarówno jako metoda pisania wspomnień o dawnych ludziach i czasach, jak i ze względu na tysiące nieznanych szczegółów z życia wybitnych jednostek. Nazywa się to „Quodlibet“. Niestety jest tego tylko jeden tom, a byłoby ich co najmniej dwadzieścia, gdyby autorce starczyło było czasu na ich na-

pisanie. Zostały pamiętniki z czasu wojny w formie listów do Seweryny Pawlikowskiej. Trzeba by też zebrać artykuły publicystyczne, pisane pod pseudonimem „Tomasz Raróg“ i pod własnym nazwiskiem autorki. — Wreszcie musimy kiedyś opracować wydanie jej listów. Nikt ich tak dziś już nie pisze i pisać nie potrafi. Z listów Maryli przebija w każdym zdaniu zarówno powaga i zdecydowanie myśli, jak i temperament, kipiący najbystrzszym humorem, zmysłem komizmu wobec siebie i innych i precyzyjną obserwacją faktów. Równoczesność jednego przy drugim jest cenną, co pozwala każdemu czytać te listy o sprawach, nieraz czytelników obcych, z zapartym tchem, z pożytkiem i uciechą.

Na tem zamykam te wspomnienia rodzinne o jednym z najlepszych naszych duchów, którego pamięć zarówno dla nas, jej bliskich, jak i dla wszystkich w Polsce powinna żywą pozostać na zawsze.

Cywilizacja staromeksykańska Legends i hipotezy

Jedną z głównych przyczyn, które ułatwiły Hiszpanom pod wodzą Corteza zdobycie w latach 1519—21 państwa Azteków w Meksyku, było rozpowszechnienie wśród ludów Meksyku legendy o bogu Quetzacoatl.

W stosunku do postaci tego boga i jego roli w mitologii Azteków najtrafniej da się użyć ludowe powiedzenie: „Trafił jak Piłat w „credo“, w sensie, zresztą, odwróconym.

Na tle ponurej, krwawej, wojowniczej i barbarzyńskiej tradycji religijnej i mitologicznej Azteków dziwnie odbija postać dobrego, łagodnego, kochającego ludzi boga, który nieustannie walczył i krwawym ofiarom przeciwstawił kult bezkrwawy nieba i wiatru, spokojną pracę na roli, ucząc — według legendy — Azteków zdobywać pożywienie i bogactwo nie drogą rozlewu krwi, ale uprawą zbóż, w pierwszym rzędzie maizu (kukurydzy).

Quetzacoatl'owi też przypisuje tradycja Azteków zapoczątkowanie życia osiadłego w dziejach tego plemienia: on to miał nauczyć ich budować osiedla, wznosić miasta, prowadzić handel.

Według tejże tradycji — Quetzacoatl — bóg wiatru miał być wysokiego wzrostu, bladolicy i długobrody (cechy fizyczne, jaskrawie odbijające od typu Azteków-Indian środkowo-amerykańskich). Gnany nienawiścią i zemstą swego brata — boga wojny, uchodzić musiał z Meksyku poprzez wielkie morze daleko na wschód, wyznawcom jednak i uczniom swoim zapowiedział, że albo on sam, albo jego potomkowie — tak samo, jak on, bladolicy i brodaci — powrócą kiedyś poprzez morze na wielkich łodziach ze skór węży do kraju, gdzie im się należy panowanie, — do Meksyku.

To też gdy okręty Corteza przybiły do brzegów meksykańskich, gdy na ląd zeszli z nich ludzie o białych twarzach i długich brodach, uzbrojeni w moce niebieskie, — zabijające grzmoty i błyskawice, — po całym ogromnym państwie Azteków rozeszła się wieść, że wygnani przed wiekami Quetzacoatl powrócił wraz z synami, by objąć należne mu panowanie nad ludami Meksyku. W ten sposób Cortez pozyskał wśród krajowców wielką ilość sprzymierzeńców, a nawet sam władca Azteków, Montezuma, niezdolny był do podjęcia kontrakcji przeciw najeźdźcom, przerażony i w

czynach swych sparaliżowany cudownym spełnieniem podania o powrocie boga wiatrów.

Zarówno hiszpańskich konkwistadorów, towarzyszy Corteza, jak i uczonych na całym świecie po dziś dzień nie przestaje zdumiewać cywilizacja staromeksykańska, będąca dziwnym połączeniem objawów bardzo wysokiej, oryginalnej kultury zarówno materialnej, jak duchowej i społeczno-politycznej — z elementami typowego, odrażającego barbarzyństwa, jak szeroko rozpowszechnione niewolnictwo, wielkie znaczenie socjalne klasy handlarzy niewolników, krwawe ofiary z ludzi na ołtarzach bogów, wreszcie kanibalizm, nie prymitywny bynajmniej, ale polegający na obyczaju uświetniania wytwornych, wspaniałych uczt najbardziej pożywnym przysmakiem — mięsem ludzkim!..

Zdumiewała też zdobywców hiszpańskich w politeistycznej, bałwochwalczej, barbarzyńskiej religii Azteków wielka liczba elementów kultu, identycznych niemal z chrześcijańskimi: wiara w życie pozagrobowe, posiadające swój raj, czyściec i piekło; używanie wody przy nadawaniu dziecku imienia; życie klasztorne; spowiedź uszna i pokuta, wreszcie często spotykane znaki krzyża, mające zresztą inne znaczenie, niż u chrześcijan — bo będące raz symbolem płodności, gdzieindziej znów emblematem boga deszczów.

Podobieństwo to szczególnie uderzało w związku z kultem Quetzacoatla: kapłani poświęconej mu świątyni w Choluli przechowywali tradycję o potopie, bardzo zbliżoną do biblijnej, samą zaś świątynię uważali za resztki wielkiego gmachu, który w zamierzonych czasach ludzie poczeli wznosić, by dotrzeć nieba, i na którego szczycie dokonało się rozprószenie języków — wieża Babel?!

Podobieństwa te, przez historyków XIX wieku traktowane, jako przypadkowe lub dające się wytłumaczyć azjatyckim pochodzeniem Indian amerykańskich, — w stuleciach poprzednich, szczególnie wśród misjonarzy przyczyniały się do umocnienia się przeświadczenia o chrześcijańskim pochodzeniu cywilizacji staromeksykańskiej. Powstała nawet tradycja, identyfikująca Quetzacoatla z apostołem Tomaszem, który w jednej swych wędrówek miał rzekomo dotrzeć do Meksyku i nauczyć Azteków prawd wiary i zasadniczych obrzędów chrześcijańskich. Tradycja ta ma

między innymi i podłoże filologiczne: w słowie Quetzacoatl — coatl w języku Azteków znaczy bliźniak; apostoł zaś Tomasz nosił przydomek Dydimus, co również znaczyło bliźniak!..

I oto ostatnie czasy przynoszą rewelacyjne hipotezy, odrzucające wprawdzie legendarną tradycję o identyczności Quetzacoatla i św. Tomasza, ale potwierdzające europejsko-chrześcijańskie pochodzenie kultury meksykańskiej. Jedną z legend azteckich — wbrew powszechnej tradycji — powiada, że Quetzacoatl miał brodę nie czarną, ale słoneczno-złotą — wogóle przedstawia go jako typ północno-europejski.

Legenda ta, jak najlepiej przylega do hipotezy, że Quetzacoatl istniał naprawdę, że był to ksiądz — jeden z towarzyszy Olafa, Thorfinna czy któregoś z innych wikingów normandzkich, którzy około r. 1000 dotarli do Ameryki, założyli tam kolonie (Grenlandia i Winlandia) i odjeżdżając, zostawili na lądzie amerykańskim (przez zapomnienie lub z jego woli) wyżej wspomnianego księdza, który w wędrówkach swych dotarł aż do krajów, zamieszkałych przez Azteków, osiadł wśród nich, uczył ich rolnictwa, handlu i życia osiadłego, a jednocześnie głosił łagodną religię o jednym Bogu, o świętości krzyża, o życiu pozagrobowym w trzech formach, wprowadzając między Azteków obrządku kultu chrześcijańskiego. Pod naciskiem jednak reakcji kapłanów krwawego boga wojny musiał uchodzić, zapowiadając przyście po wiekach swych pobratymców i współwyznawców.

Wiek mijał, nauka Quetzacoatla, zapomniana powoli, zatraciła w pojęciach Azteków swój sens pierwotny — zewnętrzne jednak formy przetrwały i zmieszały się z dawniejszym, pogańskim, krwawym kultem ludów Meksyku. Wdzięczni jednak za nauczanie ich rolnictwa, budownictwa, form życia społecznego i t. d. Aztekowie podnieśli w swej tradycji białego człowieka do godności bóstwa.

Narazie jest to hipoteza tylko, ale jeżeli ją potwierdzą badania naukowe — będzie to jeszcze jeden wspaniały triumf cywilizacji chrześcijańsko-europejskiej: okaże się bowiem, że cywilizacja ta sięgnęła tak daleko, że znalazła się u podstaw oryginalnej, a wysokiej kultury meksykańskiej, której samorodność, a przynajmniej znaczna samodzielność zdawała się nie ulegać wątpliwości!

Rybołówstwo ludowe

Obserwując i badając nazwy ryb i ich zasięg na całej Słowiańszczyźnie, jak n. p. jaź, węgorz, ukleja, jesiotr, pstrąg i t. p. możemy przypuszczać, że rybołówstwo oddawna było znane na Słowiańszczyźnie. Niektóre z tych wymienionych nazw wybiegają daleko poza ziemie słowiańskie w kierunku zachodnim, a to mrzana, karp, karaś. Na terytorjum niemieckiem spotykamy nazwy Güster (guściora) Ukelel (ukleja), Zander (sandacz) i t. p. wreszcie nazwy ryb zapożyczali od Słowian także Węgrzy i Rumuni.

Wogóle już w zaraniu historii możemy zaobserwować, że rybactwo u Słowian odgrywa bardzo wybitną rolę, o wiele wybitniejszą niż łowiectwo. Zwłaszcza okolice nadmorskie, tereny przeżynane licznymi rzekami, obfitujące w jeziora, są ośrodkiem rozwoju rybactwa. Okolice bezwodne, przerzynane skąpej strugami i rzekami wytwarzają specyficzne formy rybactwa. Przy rozpatrywaniu zarówno zwyczajów jak i narzędzi rybackich stosunki te trzeba zawsze brać pod uwagę.

Obfitość ryb w rzekach musiała być niegdyś nadzwyczajna. Dziś jeszcze w niektórych okolicach połowy są bardzo obfite. Za szczególnie dogodną porę połowu uważają rybacy późną porę wiosenną, gdy wody opadają, tworząc małe pozaręczne zbiorniki, skąd z łatwością można ryby wybrać; — wreszcie duża ich część odbywa wtedy tarło, jest mniej ostrożna, bardziej ruchliwa i łatwiej wpada w różnego rodzaju pułapki. Drugą taką korzystną porą do połowu to okres zimowy, okres przydychów, gdy lód pokrywa wody i pod spodem tworzą się pewne trujące zwały ki chemiczne, a brak dostatecznej ilości tlenu sprawia, że ryby nie mogą swobodnie oddychać i zaczadzają się. Gdy znajdują dla siebie trochę bodaj korzystniejsze miejsce, zbierają się tam całymi masami na wpół żywe i można je wtedy najprymitywniejszymi narzędziami wydobyć.



Kłonia czerpakowata

W prymitywnym rybactwie spotykamy pewne sposoby podobne do stosowanych w myślistwie. A więc spotykamy się tu z wysiedzaniem, nęceniem i nagonką, a nawet z podchodzeniem i zasadzką. N. p. na Polesiu przy połowie sumów używa się specjalnej t. zw. łyżki, którą uderza się lekko po wodzie, by wywabić leniwą rybę i zwrócić jej uwagę na przynętę umieszczoną na wędce. Do napędzenia ryb w kierunku sieci używa się często rozmaitego kształtu bełtów, które czynią hałas piosły się i nagania ryby.

Najprymitywniejsze sposoby rybołówstwa to chwytanie ryb rękami, trucie wód, nabijanie na ości, ogłuszenie pałkami, kamieniami i t. p. W tych sposobach wykazują rybacy zadziwiający pierwotny spryt i nieustraszoną wytrwałość. Wystarczy obserwować naszych górali przy połowie pstrągów ręką, aby wyrobić sobie pojęcie o nierwotności tego sposobu.

W województwie stanisławowskiem chłopci z nad Dniestru w czasie tarła szczupaków wchodzą do wody po szyję i stoją godzinami nieruchomo w oczekiwaniu aż który z nieostrożnych szczupaków dla tarła wpłynie im pod pachy



Ości trójzębne

lekko odchylonych ramion. Wtedy błyskawicznie ściskają rybę i wynoszą ją na brzeg. Do bicia ryb służą również ości. Są to narzędzia podobne do wideł, osadzone na długim kij. Istnieje niezliczona ilość różnych rodzajów i odmian tego narzędzia. Gdziekolwiek zanikają one z powodu ostrych zakazów policyjnych. W niektórych okolicach używają ziół, których wywarem zatrują wodę. Mało jest jednak wiadomości o tym sposobie i są one nieraz dość sprzeczne.

Wędką jest znana powszechnie. Na wszystkich prawie ziemiach słowiańskich bywa używana w różnych odmianach. Znałe są i często używane t. zw. motowęża albo sznury. Są to długie liny z umieszczonymi krótkimi wędkami. Zastawia się je w poprzek rzek, stawów, a nawet i na morzu.

Osobną grupę stanowią samolówki jak: koco, wiersze, lassy i t. p. Koco, to płot stojący we wodzie gęsto pleciony, silnie pozaginany w różne kształty, zależnie od zwyczaju, tworzący coś w rodzaju labiryntu, z którego ryba, gdy wpłynie nie może się wydostać. Prymitywniejszymi samolówkami od koców są kadłuby drzewne wydrążone dalej pęki grochów lub chróstu. Ryby szukają w tych miejscach schronienia. Rybak szybko i zreźnie wydobywa wydrążoną kłodę lub wiązkę chróstu, a ukryte ryby stają się jego zdobyczą.

Inny rodzaj samolówek to wiersze i lassy; połączone bywają zwykle z prymitywnymi tamami i jarami. Tama w poprzek rzeki zbudowana ma przerwę w środku, gdzie zwykle umieszcza się lasse lub wiersze. Prąd wody w tym miejscu jest zwykle tak silny, że porwana ryba, która zostaje uwięziona. Sama wiersza lub lasse to prymitywna plecionka tak umieszczona, by ryba nie mogła powrócić. Istnieje bardzo dużo odmian jak: lasse kapturowata, odkryta, wiersza bez sercowa, sercowa, zebarkowa, siatkowa i t. p.

Osobną wielką grupę tworzą kłonie. Są to albo plecione kosze, albo też siatkowe worki lub płachty, przytwierdzone do rękojeści. Mogą być kłonie bez rękojeści, jednorękojeściowe lub dwurękojeściowe. Kłoni bez rękojeściowa to prosty kosz pleciony używany do wyławiania ryb. Odmiany ich to opalka lub drabki. Podobna do poprzednich to kłonia wasogowata używana w dorze-



Ości wielozębne

czu Narwi. Jest to worek naciągnięty i usztywniony na pięciu prętach. Kłonie jednorękojeściowe, to różnego rodzaju czerpaki, kasierze, kasiorki i kłonie czerpakowate różnych kształtów i różnie zwane zależnie od okolicy.

Ciekawą ze względu na historię powstania jest suwata. Znana ona już była w starożytnym Egipcie co najmniej cztery tysiące lat temu i posiada niezwykle szeroki zasięg światowy obejmujący Chiny, Indie, Nową Gwineę i, co ciekawe, tylko zach. Europę. Słowianie wschodni jej nie znają. Do nas wraz ze swą nazwą przyszła z Niemiec. Jest



Kłonia kapturowata

to siatka przymocowana do skrzyżowanych i związanych rękojeści przez co utworzył się wygodny czerpak.

Do kłoni należy również pospolita podrywka. Zwyczajnie jest to sieć z czterema rogami umocowana do dwóch kablaków przymocowanych do rękojeści, którą podrywa się z pomocą widełek. Podrywką łowi się ryby na przynętę lub w mętnej wodzie podczas wyławów.

Ostatnio wielką grupę narzędzi rybackich stanowią właściwe sieci. Powstały one z płacht i kłoni przez zwiększenie rozmiarów. Zależnie od sposobu używania dzielimy je na: ciągnione, spławne i zastawne. Zależnie zaś od kształtu dzielimy je na ściankowe i matniowe. Dużą popularnością cieszą się sieci ciągnione matniowe, zwane u nas niewodami, lub mniejsze zwane klepami. Jeszcze mniejszy, bo tylko ciągniony przez jednego lub dwóch rybaków jest włok strużowy. Sieci zastawne dzielimy na jedno - dwu i trójwarstwowe. Sieci trójwarstwowe zwą się u nas ślepiami, sieciami mrzeżami lub drygubicami. Składają się one z dwóch lub trzech sieci jedna za drugą jak kartki książki, przyczem pierwsza silnie napięta na duże oczka druga zaś wolno napięta zwana jądrem drobne. Ryba z łatwością przepływa przez duże oczka, ale więźnie w wolno zwisających fałdach gęstego jadra.

Przy połowie posługują się rybacy różnymi narzędziami pomocniczymi. Ciekawe zwłaszcza są narzędzia do zimowego połowu podczas przydychów jak chachle t. j. tyczki z umocowaną siecią kluczką do szukania chachli, o ile zaczęli się gdzieś pod lodem i wreszcie widełki do wyciągnięcia chachli.

W. M.

Początki poczty w Polsce

Jak długo Kraków był stolicą Polski, tak długo wszystko to, co jest związane z publicznym życiem gospodarczym, było nadzwyczaj ożywione. Kraków utrzymywał handlowe stosunki nie tylko z zachodem, lecz również z daleką północą i ze wschodem, a jak liczne zapiski dowodzą, wykonawcami najtrudniejszych prac w przedsiębiorstwach byli przeważnie Polacy, którzy niestety pozwalali na to, by na czele tego ruchu stali ludzie obcy. Prawdy tej dowodzi historia organizacji poczty polskiej.

Dzieje poczty polskiej nie doczekały się jeszcze wyczerpującego opracowania. Praca bowiem Dr. Dańkowskiego pt. „Rys urządzeń pocztowych w dawnej Polsce” i praca Chołodeckiego pt. „Do dziejów poczty w Polsce” nie wyczerpują tematu.

Prace powyższe uzupełniają po części dzieje rodów włoskich w Polsce: Prowanów, Maiffonów i Montelupich, mieszczan krakowskich, które rzucają światło na stosunki krakowskie i na poczynania tego miasta. Rody powyższe wymienione organizowały w Krakowie pierwszą, nowożytną pocztę polską na polecenie króla Zygmunta Augusta i w pracy tej musiały walczyć z zawiścią i intrygami najbliższych nawet sobie

Włochów.

W Europie założył pierwsze placówki pocztowe włoski ród Thurn-Taxis. Rodzina ta włoska pochodziła z Bergamo i właściwe jej nazwisko brzmiało: Della Torre. Jeden z jej członków osiadł w 1313 roku na górze Tasso we wiosce Cornello i od tego czasu nazwisko tej rodziny uzupełniło się na della Torre - Tasso. Z tego rodu pochodzi znany poeta Torquato Tasso.

Z czasem członkowie tej rodziny przerzucają się do Tyrolu, niemieczą się i zmieniają swe nazwisko na Thurn-Taxis. W Niemczech, a później w innych krajach zachodniej Europy, organizują pierwsze placówki pocztowe, bogacą się niebawem i rozprzestrzeniają we wszystkich stolicach europejskich.

Pierwszy Kraków pomyślał o założeniu poczty na ziemiach polskich. Z początkiem poczty kupiecką kierował w Krakowie kupiec Boner, który pozostawał w stosunkach kupieckich ze wszystkimi prawie firmami zagranicznymi. Seweryn Boner usiłował urządzić w Polsce pocztę regularną i prawdopodobnie współpracował z pocztą Thurn-Taxisów, jednak z jego śmiercią upadło to przedsiębiorstwo.

Gdy jednak w 1557 roku umarł królowa Bona i król Zygmunt August musiał z Włoch wydobywać znaczny po-

niej spadek, wyłoniła się potrzeba dobrej pocztowej komunikacji z Włochami.

Król powierza wówczas założenie poczty Włochowi Prosperowi Prowanowi. Poczta ta była ściśle królewska gdyż król ponosił koszty jej utrzymania. Zawisć Włochów między sobą sprawiała, że król nie wszedł w stosunki z pocztą Thurn-Taxisów i zgodził się na urządzenie bezpośredniej poczty między Krakowem a Wenecją. Pocztę tą zwano włoską, a obok niej powstała poczta litewska na czas, gdy król przebywał w Wilnie. Centralny zarząd tej poczty urzędował w Głównym Rynku Krakowa w kamienicy pod Nr. 7.

Kierownictwo poczty objęli wprawdzie Włosi, ale wszystkie prace i polecenia wykonywali Polacy, o czym świadczą stare zapiski i wykazy pocztowe, w których powtarzają się ciągle imiona Kurjerów i posłańców pochodzenia polskiego, jak Sobek, Marcin, Raczka, Jan, Łukasz itp.

Posłańiec pocztowy wyjeżdżał z Krakowa w każdą niedzielę rano do Wiednia przybywał we środę, poczem w czwartek rano wyjeżdżał do Wenecji, gdzie przybywał we wtorek następnego tygodnia. Na Litwę udawał się kurjer we środę każdego tygodnia, by za tydzień siódmego dnia stanąć w Wilnie.

Oplata pocztowa dla osoby prywatnej wynosiła od 1 łuta wagi 3 grosze do Wiednia, a 6 groszy do Wenecji. Królewskie przesyłki były wolne od wszelkich opłat, a król w ich miejsce udzielał przedsiębiorstwu subwencji rocznej w wysokości 1.500 talarów. Dochody z prywatnych przesyłek należały do kierownictwa poczty.

Zawiść i intrygi zmusiły Prowana do ustąpienia z przedsiębiorstwa, następcą jego jeden z Thurn-Taxisów również niedługo prowadził pocztę polską, której kierownictwo obejmuje w 1564 r. Włoch krakowski Piotr Maffon. Przedsiębiorczy ten mieszczanin krakowski prowadził handel na wszystkie strony, nawet z odległą Moskwą, rzucał się także na przedsiębiorstwa kopalniane, ale poczty nie umiał prowadzić.

To też 18 listopada 1568 roku król Zygmunt August powierza administrację polskiej poczty Sebastianowi Montelupichowi i zawarł z nim kontrakt na 5 lat. Rodzina ta prowadzi to przedsiębior-

stwo polskie blisko 100 lat. Poczta ta rosła wówczas nazwą: Poczta Królestwa Polskiego.

Król Zygmunt III w 1620 roku reorganizuje urządzenia pocztowe, wydaje w tej sprawie manifest i usiłuje połączyć komunikacją pocztową główne miasta w Polsce, jak Lwów, Warszawę, Poznań, Wilno, Kraków i inne.

Niedługo w 1634 roku występuje z inicjatywą Rada miasta Krakowa. Na wniosek Karola Montelupich tworzy regularną pocztę z miastami w Polsce i uchwała na ten cel subwencję w wysokości 200 fl. Król jednak zawiesza tę uchwałę, motywując ten krok tem, że urządzenie poczt należy jedynie do króla.

W 1662 roku rodzina Montelupich traci prawo prowadzenia poczty polskiej i kierownictwo jej obejmuje znowu Włoch Angelo Marja Bandinelli z tytułem: „generalissimus et supremus postae magister et praefectus”. W tym

czasie powstały już stacje pocztowe we wszystkich prawie miastach Polski.

Tak więc rodzina Montelupich zorganizowała w Polsce instytucję wielce pożyteczną, można powiedzieć rdzenie polską, która sięgała daleko poza granice Polski. O ile zagranicą ród Thurn-Taxis wzbogacił się na poczcie, otrzymał nawet w dowód uznania tytuł książęcy, to w Polsce ród Montelupich otrzymał tylko indygenat szlachecki, a jeden z nich, Walery Sebastian, został w 1618 burgrabią krakowskim, a brat jego, Karol, sekretarzem królewskim.

Gdy Bandinelli objął kierownictwo poczty polskiej, rodzina Montelupich już wówczas zubożała i przeżywała wiele przykrości i ciosów ze strony zawistnych ludzi. W trybunale toczyły się często sprawy, dotyczące się ich indygenatu szlacheckiego, który kwestionowano i potwierdzenia królewskie w tej sprawie nie wiele pomagały. Z czasem rodzina ta spolszczyła swe nazwisko na Wilczogórski i rozplynęła się w masie szla-

checkiej. W Krakowie pozostała po nich pamięć jedynie w nagrobkach kościoła Marjackiego i w nazwie ulicy w dzielnicy warszawskiej.

Gdy zaś stolicę Rzeczypospolitej przeniesiono do Warszawy, upadło znaczenie Krakowa, a z niem instytucja pocztowa, tak ściśle związana z byłą królewską stolicą. Zamieszki wojenne za Wazów utrudniały wielce organizację poczt w Polsce z centralą w Warszawie. Z czasem jednak powstały w naszym kraju takie same poczty wożowe, jak w ościennych państwach.

W każdym razie Kraków organizował tę pożyteczną instytucję według własnych pomysłów, a ten fakt, że na funkcjonariuszy powoływał Polaków świadczy, że obcy przybysze bogacą się i panoszą w Polsce jedynie za poparciem ludzi, piastujących władzę i z tej tylko przyczyny Polacy nie mogą często wyzyskać swych wielkich sił potencjalnych.

S. K.

Pierwsza polska historia sztuki^{*)}

Historia sztuki w miarę swego rozwoju i udoskonalania swych metod badawczych wychodzi poza szeregowanie faktów artystycznych, jakie zadowalało tę naukę jeszcze w ub. w. Zadania, które podejmuje dzisiejsza nauka o sztuce, są bardziej rozległe. Sam fenomen artystyczny staje się w pierwszym rzędzie przedmiotem badań dla poznania elementów, które się nań składają. Włączenie poszczególnych dzieł w łańcuch rozwojowy, jest tylko jednym z zadań historyka sztuki. Dzieło sztuki nie jest faktem odosobnionym, wyrasta ono z podłoża kulturalnego i duchowego swej epoki, której staje się najpełniejszym wyrazem. To też zbliżenie się do twórczości artystycznej całych okresów i przenikanie tajni ich pokładów doprowadzić musi do poznania dziejów ducha ludzkiego.

Rozszerzenie podstaw historii sztuki jest wynikiem dłuższej ewolucji, która pogłębiła stosunek człowieka do sztuki, każąc się w niej doszukiwać czegoś więcej aniżeli estetycznego tylko zadowolenia. Historia sztuki, choć zalicza się do nauk najmłodszych, to jednakowoż przybierające z każdym rokiem tempo jej rozwoju pozwoliło wyrównać wszelkie zalety, a nawet przez zdobycie włas-

nych horyzontów w niejednym wypadku je wyprzedzić, zwłaszcza przez pogłębienie problemu twórczości jako takiego.

Wysiłki w zakresie teorii nie zawsze szły w parze z syntetycznymi opracowaniami całokształtu, zresztą podobnie, jak w innych dziedzinach, stąd też różnica między najwybitniejszymi badaniami specjalnymi, a tem, co otrzymywało społeczeństwo jako substrat w postaci podręczników. Dzieła te, zakrojone niejednokrotnie na dużą skalę, nie spełniały dotychczas idealnie właściwego zadania. Brak im równomierności w zastosowywaniu metod, zaznacza się również tendencja do podkreślenia pewnych momentów ideowych, w ścisłym związku z aktualnymi prądami politycznymi czy społecznymi, co oczywiście uniemożliwia poznanie właściwego oblicza ludzkości.

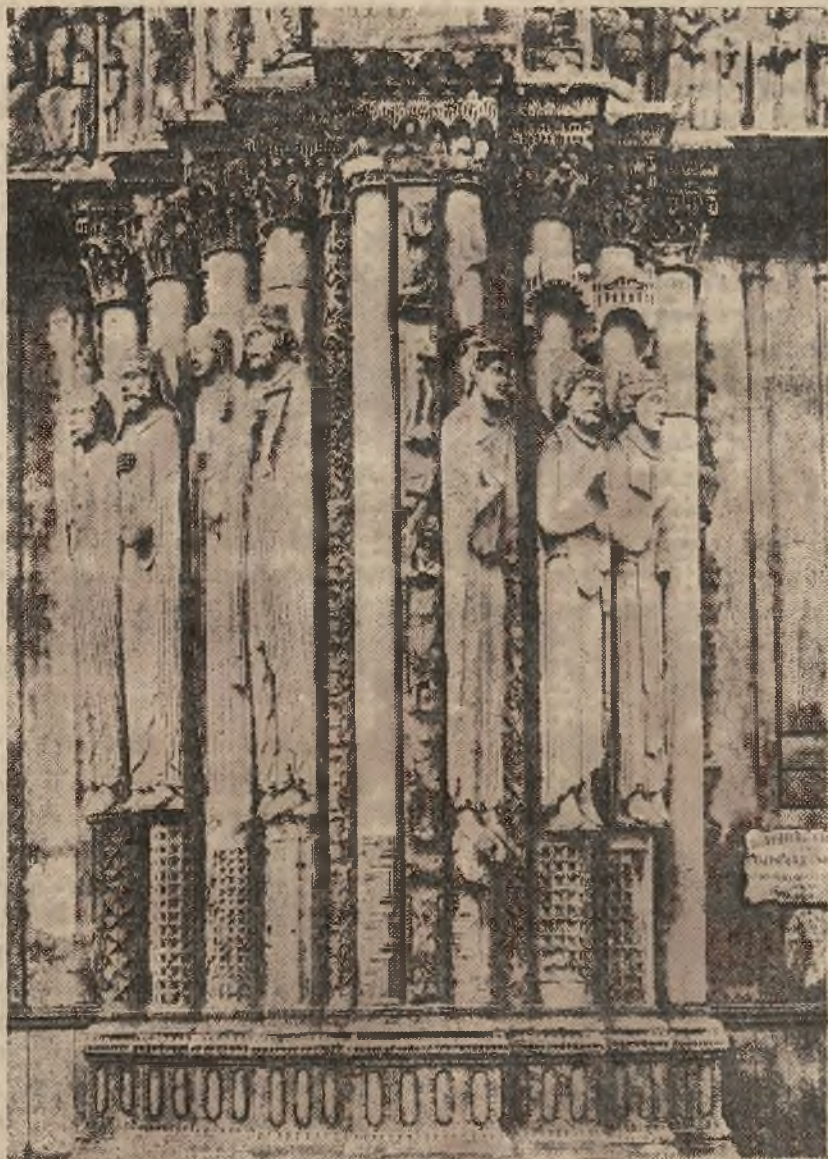
Na tle tem występuje dopiero doniosłe znaczenie historii sztuki, wydawnictwa Zakładu Nar. im. Ossolińskich, wydawnictwa tem cenniejszego, że jest ono pierwszą wogóle samodzielną próbą polskiej nauki przedstawienia całokształtu dziejów sztuki. Z tego też względu zasługuje dzieło to na specjalną uwagę.

Tom drugi tego wydawnictwa poświęcony średniowieczu — wyszedł z pod pióra Mieczysława Gębarowicza, którego dotychczasowe badania wysunęły na czoło młodszej generacji naszych historyków sztuki.

Sztuki nie traktuje Gębarowicz w oderwaniu od całokształtu życia duchowego i materialnego społeczeństw, lecz wiąże je z podłożem życiowym i stara się dotrzeć do jej ideowych podstaw. Przed omawianiem poszczególnych okresów w rozwoju artystycznym daje ogólny wstęp, którym wprowadza czytelnika w świat średniowiecza. Na sztukę średniowieczną patrzy „okiem wiary”. Powiedzenie to wpłcone przez autora najstarszego żywotu św. Stanisława w opis jednego z cudów, daje się w pełni zastosować do sztuki średniowiecznej. Wyrasta ona bowiem na podłożu religii chrześcijańskiej, która stanowi najistotniejszy wykładnik życia duchowego tej epoki. Stąd też charakter uniwersalny sztuki, pozostającej w oddaleniu od świata doczesnego, a podporządkowanej w zupełności Kościołowi. Straciła ona wprowadzić swą wolność, lecz jako jej równoważnik występuje wzmożenie jej funkcji społecznej. Poniekąd jest średniowiecze kontynuatorem antyku, lecz oddziaływują siły nowe, które stwarzają odrębne formy. Forma jako taka nie

jest celem artysty średniowiecznego, lecz służy ona tylko dla wyrażenia treści, której jest w zupełności podporządkowana. Uważając sztukę za jeden z najwyższych przejawów życia duchowego,

problem dla niej nie istnieje. Dla zrozumienia podania treści posługuje się formą, która odpowiada jej wymogom. Czerpie ją jednak nie z natury, ale z tradycji.



Portal katedry w Chartres.



'Pantocrator', fragment portalu Muzeum djecezi, w Vich.

*) Historia Sztuki. opracowali Stan. Jan Gąsiorowski, Mieczysław Gębarowicz, Tadeusz Szydłowski, Władysław Tatarkiewicz, Jan Żarnowski, Józef Żurowski — Wydawnictwo Zakł. Nar. im. Ossolińskich, t. II, Mieczysław Gębarowicz — Sztuka Średniowieczna — Lwów 1934.

łączy ją Gębarowicz dla zbliżenia się do jej istoty z innymi dziedzinami myśli, a więc nie tylko nauką Kościoła, ale i dokumentami literackimi i filozoficznymi.

Podstawę jednak metody Gębarowicza stanowi jego bezpośredni stosunek do materiału zabytkowego, który nie tylko opanował samodzielnie pod względem historycznym, ale ustala wartości formalne i psychiczne jako kategorie estetyczne, służące w pierwszym rzędzie do wyświetlenia danych zjawisk artystycznych. Zajmuje się więc genezą form poszczególnych, określa stosunek ich do antyku, do natury. Sztuka średniowieczna wyrasta z przesłanek abstrakcyjnych, nie jest jednak antinaturalistyczna, choć stosunek formy do rzeczywistości jako

Na tej podstawie zrozumiałym stało się ekspresyjne pierwiastki sztuki średniowiecznej, której poszczególne elementy ustala Gębarowicz, poczem przychodzi do charakterystyki poszczególnych stylów. Zarówno dla całych procesów rozwojowych, jak i poszczególnych zjawisk posługuje się tą samą metodą. W rezultacie przedstawia cały systemat, który stanowi podstawę każdego stylu, daje nie tylko systematykę formalną, genezę form i rozwój, następnie ich rozpraszanie, ale i genealogię duchową. Gdzie tego wymaga konieczność, podkreśla właściwości materiału, ale nie przypisuje mu decydującego znaczenia, które przypada świadomej swych za- mierzeń woli artystycznej. Z niezwykłą

logiką ustala autor same podstawy poszczególnych faz rozwojowych, ujmując każdy najdrobniejszy człon w ogólny system konstrukcyjny.

Postępowanie Gębarowicza w stosunku do pewnych przejawów stylowych jest w dużej mierze oryginalne, mimo znajomości całej najnowszej literatury naukowej. Uderza to zwłaszcza w stosunku do romańszczyzny, która, traktowana dotychczas jako objaw przejściowy między sztuką antyczną, a gotykiem, którego właściwe przygotowanie miała stanowić, przedstawia się w ujęciu Gębarowicza jako jednolity i samodzielny wyraz swej epoki o własnej określonej ideologii. Ustalenie całokształtu tego rozwoju pozostanie trwałą zdobyczą autora.



Katedra w Tournai.

Samodzielnym pozostaje Gębarowicz nie tylko w interpretacji danych zjawisk artystycznych, ale i posługuje się materiałem, który — poniekąd objęty badaniami szczegółowymi — dotychczas nie był wprowadzany do literatury podręcznikowej, co odnosi się zwłaszcza do architektury w okresie karolińskim i rzeźby romańskiej. Uwzględni też nowe zupełnie obszary artystyczne, których rozwój pozostawał dotychczas niedocenianym, n. p. Hiszpania.

Z całą ścisłością określa też autor stosunek poszczególnych dziedzin sztuki i ich współdział w ustalaniu się zasad kształtowania. Architektura poświęca autor najwięcej uwagi. Architektura jest bowiem tą dziedziną twórczości, w której rola twórcza poszczególnych epok wyraża się najdoskonalej, zwłaszcza w oderwaniu od wszelkiej treści tematycznej i operowanie elementami abstrakcyjnymi pozwala na najpełniejsze wyrażenie się ideologii twórczej. W systematyce ogólnej przeznacza Gębarowicz rzeźbie i malarstwu właściwe im stanowisko, wprowadza niedoceniane dotychczas zabytki, łącząc je wszystkie w jeden łańcuch rozwojowy. Również i w tej dziedzinie spotykamy się z oryginalnym zupełnie ujęciem, — zwłaszcza zaś przy rzeźbie romańskiej, — które stanowi nowość niespotykaną w analogicznych dziełach nauki zagranicznej. Wszelkstronnie ocenia Gębarowicz rzeźbę romańską łącznie z ikonografią i światem ówczesnych pojęć dociera poprzez forme do jej treści duchowych. Dojrzałość i powaga stylu autora sprawiają, że karty te poświęcone rzeźbie należą nie tylko do najcenniejszych, ale i do najpiękniejszych w naszej historii sztuki. Oto jeden z wyjątków:

„W niezrównanej wizji, jaką przed nami rozwija portal w Chartres, uderza uprzywilejowanie postaci kobiecych, wyidealizowanych, a zarazem pełnych ziemskiego uroku. Wytworzone i uduchowione, łączą kokieterję w wyrazie twarzy i w ubiorze z nimbem świętych, a choć nie

własny nawet kogo wyobrażają, widzieć w nich musimy jedną z najdoskonalszych emanacji ducha francuskiego. Poprzez elegancję formy kładziemy jakby rękę na pulsie Francji, tej zwłaszcza rycerskiej, której żyła osi — i to jedną z najważniejszych — była kobieta, w niej koncentrowało się wszystko, wokół niej opłatało to co było pięknem i poezją w życiu, jej refleksy padały na religię i sztukę. Wzrost czci N. P. Marii i rys rycerskiej galanterii w jej ujmowaniu są tego najlepszym dowodem. To też styl monumentalny Chartres pozostał wyłączną własnością Francji...”

Podkreślenie uniwersalnego charakteru sztuki nie stało jednak Gębarowiczowi na przeszkodzie w charakteryzowaniu poszczególnych rozwojów na różnych terenach, których fizjognomii artystyczna kształtuje się pod działaniem czynnika rasowego i narodowego. Kwestia, która roznamietnia nawet poważnych badaczy, znajduje w omawianym dziele sprawiedliwą i właściwą ocenę. Opierając się o materiał historyczny, ustala autor te wartości, które poszczególne narody wniosły do ogólnego skarba sztuki. Nie dość na tem, stara się uzasadnić związki form z predyspozycjami psychicznymi i tem samem dociera do podstaw samej twórczości. Na uwagę zasługuje specjalnie stanowisko wobec gotyku, który ostatnio, zwłaszcza w związku z teorią Worringera, łączono nierozdzielnie z tendencją do abstrakcji, przepełnieniem tęsknotą transcendentalną; czynnik ten stanowią elementy psychiki ludów północnych, germańskich, a zatem

żywiół germański miał być decydującym w wytworzeniu się gotyku.

Gębarowicz natomiast ustalił zasady gotyku we Francji, który wyprzedza czasowo niemiecki, a mimo identycznego systemu formalnego, posiada w zupełności odmienne oblicze. Niezwykle ścisła logika, racjonalizm mimo całego spirytualizmu średniowiecza, oto zasadnicze elementy psychiki francuskiej, która wytworzyła właściwy „klasyczny” gotyk. Gotyk niemiecki, podobnie jak angielski i hiszpański, jest tylko swoistą, acz samodzielną interpretacją tego przejawu stylowego.

Wobec zgodności wywodów Gębarowicza z materiałem zabytkowym, pogląd powyższy posiada duże znaczenie, tembardziej, że wolny jest od sugestii nauki obcej.

Sztukę na terenie Polski włącza autor do całokształtu ogólnego rozwoju artystycznego. Jest to pierwszy wysiłek w tym kierunku, który w rezultacie daje właściwe oświetlenie naszych stosunków artystycznych. Śląsk — aż do poł. XIV w., łączy z całym rozwojem polskim, co odpowiada zarówno stanowi politycznemu, jak i relacjom artystycznym. W miarę krzyżowania się różnorodnych wpływów, których zasięg rozgranicza Gębarowicz ściśle — jak n. p. przejawy bizantyzyзму za Jagiellonów, pozostające zupełnie odosobnione — stara się określić charakter produkcji artystycznej w Polsce i warunków, jakie ją umożliwiały.

Drzwi brązowe katedry gnieźnieńskiej, które dotychczas uważano bezkrytycznie za wytwór odlewnictwa magdeburskiego, posiadają w świetle badań Gębarowicza wszelkie prawdopodobieństwo, że powstały w Polsce jako rezultat krzyżowania się wpływów miejscowych i obcych, przychodzących z bliższego i dalszego Zachodu.

Kwestię przynależności narodowej Wita Stwosza sprowadza Gębarowicz również na nową zupełnie płaszczyznę. Punkt ciężkości przenosi na rozpatrywanie genezy formalnej sztuki Stwosza, różniąc się od rzeźby niemieckiej, a zwłaszcza w okresie twórczości artysty w Krakowie, gdzie powstały bezspornie najlepsze jego dzieła. Stwierdzić więc należy czy i o ile środowisko polskie zawazyło na sztuce Stwosza i czy odrębność jego jest rysem indywidualnym, czy też wynikiem odmiennej atmosfery, w jakiej talent jego krzepnie.

Trudno, oczywiście, w ramach jednego artykułu wyszczególnić wszystkie wysiłki Gębarowicza w oświetlaniu zjawisk artystycznych. — Można jednak stwierdzić, że autor mimo znajomości całej literatury fachowej zachował samodzielną postawę wobec fenomenów twórczych i wprowadza w badania nowe oryginalne poglądy, o dużej niejednokrotnie doniosłości. Tem samem dzieło to, które pomyślane było jako podręcznik uniwersytecki, wyrasta do znaczenia ogólniejszego.

U. M.

Muzeum pokuckie w Stanisławowie

Zbednem byłoby udowadniać, jakie znaczenie dla narodów mają muzea, te żywe pomniki kultury wieków przeszłości. Są one czemś, w co zakłute zostały dawne dzieje, pozbawione światła, a dowodów tego twierdzenia posiada bardzo dużo. Obok wielkich muzeów polskich, istnieje cały szereg mniejszych, ograniczających się do zabytków małego skrawka danej ziemi, t. zw. muzeów regionalnych. Takim

Pokuckiego datują się od roku 1928, kiedy to został powołany do życia Wojewódzki Komitet regionalny w Stanisławowie, mający na celu ochronę zabytków kulturalnych miasta, oraz całego województwa stanisławowskiego.

W tym samym roku, w łonie Wojew. Komitetu regionalnego, powstaje sekcja kulturalno-oświatowa, pod przewodnictwem dr. Czesława Chowańca. Dzięki inicjatywie tego młodego uczonego (obecnie kustosa Biblioteki Polskiej w Paryżu) wyłania się z sekcji kulturalno-oświatowej komisja muzealna, która w szybkim tempie rozpoczęła prace nad stworzeniem muzeum regionalnego w Stanisławowie, wzorując się na organizacji Muzeum Pokuckiego w Tarnopolu.

Nadzwyczaj sumienna praca komisji

muzealnej cały jej dorobek i postanawia własnym kosztem muzeum to kreować.

Pierwszym dyrektorem Muzeum Pokuckiego zostaje śp. Bohdan Janusz, który w bardzo krótkim czasie ustępuje ze zajmowanego stanowiska. Drugim i obecnym dyrektorem Muzeum Pokuckiego, jest dr. Józef Grabowski, znakomity „spec” o ile tak wyrazić się można, w sprawach muzealnych.

Oficjalne otwarcie Muzeum Pokuckiego nastąpiło w 1933 r., w czasie święta „Dni Ziemi Stanisławowskiej”. Dziś Muzeum Pokuckie przedstawia się jako poważna placówka kulturalna w Stanisławowie, obrazująca przeszłą kulturę polską na ziemi pokuckiej, jej regionalizm, oraz swoiste cechy twórcze jej mieszkańców.

Zanim przedstawię w ogólnych zarysach dorobek Muzeum Pokuckiego, muszę poświęcić kilka słów znaczeniu tej tak ważnej placówki na południ-wschod. kresach Polski. Przedewszystkiem w pierwszym rzędzie Muzeum Pokuckie spełnia rolę historycznego dokumentu polskości tej ziemi, objawiającej się tak w sztuce architektonicznej, malarstwie, kościelnej jak — co najważniejsze w sztuce ludowej. (Ceramika pokucka i malarstwo ludowe na szkło). Dając szerokim warstwom społeczeństwa możliwość zetknięcia się z pomnikami przeszłości, Muzeum Pokuckie przyczynia się do ukochania własnego kraju, oraz do dalszego rozwoju kultury i sztuki w całym tego słowa znaczeniu.

Widowym tego przykładem jest utwórze się ruchu na polu sztuk plastycznych w Stanisławowie, biorącego swój początek z inicjatywy twórców i kierowników Muzeum Pokuckiego. Zainteresowanie się sztukami plastycznymi doprowadziło do skupienia wszystkich artystów plastyków, malarzy i rzeźbiarzy ze Stanisławowa i województwa stanisławowskiego i utworzenia Związku Artystów Plastyków „Orion” w Stanisławowie.

Blіszy kontakt ze społeczeństwem nawiązał ZAP „Orion” przez urządzenie szeregu wystaw, z których dwie zakrojone były na większą skalę, a to: Wystawa konkursowa Artystów Plastyków Stanisławowa, urządzona w styczniu 1932 r., na której wystawił swe prace, znaną już dzisiaj w Polsce



Ceramika pokucka. U góry panorama Czarnohory.

muzeum regionalnem. Jest powstałe przed kilku laty w Stanisławowie „Muzeum Pokuckie”, mieszczące w sobie zabytki kresów południowo-wschodnich Rzeczypospolitej, a w szczególności tej części kresów — jak sama nazwa wskazuje — Pokucia.

Muzeum Pokuckie istniejące zaledwie od kilku lat, może dziś dzięki sumiennej pracy swych byłych, oraz obecnego kierownika poszczycić się wielkim dorobkiem muzealnym, świadczącym o polskiej pracy i kulturze wieków ubiegłych na Pokuciu. Początki założenia Muzeum

muzealnej, doprowadza w krótkim czasie do urządzenia Wystawy historycznej (r. 1928), która posiadała małą, wprawdzie ilość eksponatów z przeszłości Stanisławowa, niemniej przeto cennych i drogiej. Komisja muzealna zwróciła się zatem z apelem do społeczeństwa, prosząc o darowywanie względnie odsprzedawanie posiadanych zabytków, przedstawiających wartość muzealną.

Właściwe tworzenie Muzeum Pokuckiego przypada na rok 1929, kiedy to samorząd miejski, przyjmuje od komisji

młodzi malarze i rzeźbiarze stanisławowscy. Drugą wielką wystawę, o charakterze szerszym, urządzono w r. 1933. Wystawa ta obejmowała nie tylko stanisławowskie talenty, ale z całego województwa. Była to Wystawa Artystów Plastyków województwa stanisławowskiego.

I tu też widzimy wielką rolę Muzeum Pokuckiego, która doprowadziła do skonsolidowania twórczej pracy artystów plastyków województwa stanisławowskiego, dotychczas rozproszonych i prawie nieznanych talentów, co więcej — odkryła cały szereg talentów pierwszorzędnych, tak malarzy i rzeźbiarzy, o czym świadczyły choćby głosy krytyki prasowej nie tylko miejscowej, ale z całej Polski.

Tak mniej więcej przedstawia się w ogólnym zarysie rola i znaczenie Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie.

A teraz słów kilka o samym muzeum. Muzeum Pokuckie mieści się obecnie w gmachu MKKO, gdzie zajmuje jedną salę dużą i trzy mniejsze. Prowizoryczne to pomieszczenie Muzeum było konieczne ze względu na umożliwienie dostępu szerszym warstwom społeczeństwa do zbiorów. Właściwe pomieszczenie M. P. znajduje na stałe miejsce w nowo wzniesionym ratuszu, gdzie przeznaczono na ten cel całe piętro.

Niestety, prace remontowe we wnętrzu ratusza, wykończenie sal itp. są dopiero zapoczątkowane, tak że M. P. jeszcze przez dłuższy czas będzie musiało mieścić się w gmachu M. Kasy Oszczędności.

Jak już wspominałem Muzeum Pokuckie zajmuje obecnie trzy ubikacje. Sala pierwsza poświęcona jest turystyce. Uwagę zwraca tu ogromna mapa plastyczna wojew. stanisławowskiego, z oznaczonymi szlakami turystycznymi w Karpatach wschodnich. Liczne, pięknie wykonane, fotografie z Czarnohory, Gorganów, Beskidu Wschodniego, oraz Jaru Dniestru, dopełniają całości obrazu, cel turystyki w wojew. stanisławowskim.

Sala druga — główna, zawiera bogaty zbiór ceramiki pokuckiej, świadczącej dobitnie o polskiej sztuce ludowej Pokucia. (Twórcami ceramiki pokuckiej byli Baranowski i Bachmiński). Zbiór ceramiki pokuckiej w M. P., należy do jednego z najpiękniejszych zbiorów tego rodzaju. Dla badacza ceramiki ludowej, przedstawia niezmiernie cenny materiał, bowiem Muzeum posiada bardzo ciekawe okazy, poza tym zbiór jest tak skompletowany, że przedstawia rozwój sztuki ceramicznej na Pokuciu od jej początku po dzień dzisiejszy. Również ładny zbiór obrazów malowanych na szkle, wśród których znajduje się kilka oryginalnych prac Piotra Niemczyka z Bohorodczan, znajduje tu pomieszczenie. Trzeba z naciskiem stwierdzić, że początek i kierunek rozwoju sztuki ludowej na Pokuciu wykazuje cechy rdzenia polskiego, co objawia się nie tylko w motywacji, ale też w ogólnym charakterze zdobnictwa.

Piękny zbiór malarstwa ludowego Pokucia dopełnia zbiór obrazów religijnych huculskich (święci przedstawieni w strojach huculskich). Poza tym w sali głównej znajduje pomieszczenie dla sztuki ludowej Pokucia w całym tego słowa znaczeniu, oraz we wszystkich swych przejawach. Dział ten jest najbogatszym, co zresztą idzie po linii regionalnego charakteru M. P. Modna tak dziś Huculszczyzna, zaprezentowana jest w całej swej okazałości, począwszy od pierwotnych i najstarszych wzorów ludowej sztuki huculszczyzny, po dzień dzisiejszy. Na wyróżnienie zasługują tu wyroby mosiężne, oraz inkrustowane, broń zbójnika i przybory myśliwskie, hafty i t. p.

Ekspozycje w drugiej sali, uzupełniają zbiór archeologiczny i przyrodniczy odnoszący się do ziemi pokuckiej, oraz nadzwyczaj bogate zbiory starych monet, pochodzących przeważnie z wykopali i skarbczyków. Obecnie M. P. wzbogacił się o kilkanaście okazów sztuki scytyjskiej, które w czasie wykopalisk przeprowadzonych z ramienia M. P. na terenie wojew. stanisławowskiego zostały odkryte w prawdziwych grobach scytyjskich.

Sala trzecia mieści zabytki Stanisła-

wowa. Oprócz pamiątek historycznych znajdują się tam gipsowe modele kościoła, ratusza i dawnej twierdzy stanisławowskiej. Prócz tego cały szereg tablic statystycznych, obrazujących rozwój miasta na polu gospodarczo - przemysłowym, kulturalno - oświatowym i t. p. dopełnia zbiór eksponatów w odniesieniu do miasta. Między inn. zwraca

cają uwagę pamiątki z wojny światowej, pamiątki związane z rodziną Potockich, założycieli miasta i t. p.

Oczywiście szkic ten jest bardzo pobieżny, trudno bowiem zająć się opłsem szczegółowym Muzeum Pokuckiego w jednym artykule.

Na zakończenie chciałbym poruszyć



Broń zbójnicka i huculska oraz przybory myśliwskie.

Antoni Watteau

(w 250-lecie urodzin)

Zaledwie osiemnaście lat liczył sobie Antoni Watteau, kiedy z rodzinnego miasta Valenciennes przywędrował w roku 1702 do Paryża, by szukać szczęścia na bruku stolicy.

Waty, słabowity chłopak. Całym jego majątkiem była młodość i zapal do pracy. Od najmłodszych lat marzył



Watteau. Portret własny.

o karierze artystycznej. Marzył mu się postacie tych flamandzkich chłopów i mieszczan, krępych, rubasznych, te słynne kiermasze z różnobarwnym, rozbawionym tłumem.

Na jednym z takich kiermaszy ujrzał młody chłopak wędrowną trupe włoskich aktorów, ujrzał nieśmiertelne figury Arlekina, i Kolombiny. Szkicuje je ukradkiem, zapatrzonej w ten świat nierealny, fantastyczny.

Pierwsze te wrażenia wycisnęły też wyraźne piętno na twórczości artysty, zwłaszcza w początkowym okresie tej twórczości, zanim znalazł swój własny styl, stając w szeregu wielkich mistrzów.

A droga to była ciężka i mozolna!

Młody Watteau dostaje się do przeciętnego zaledwie malarza, traktującego swój zawód jako rzemiosło: „fabrykuje się” tam dziesiątki i setki obrazków świętych, niemal bohazów, dostarczanych masowo na prowincję. W tej

to „fabryce” przepędza Watteau trzy lata, dostając za swą pracę talerz zupy i trzy liwry tygodniowo!

Talent jego nie znajduje w tych warunkach możności rozwoju; conajwyżej pogłębia Watteau swe znajomości techniki malarskiej.

Jeszcze parę lat szamotania się z losem, aż zniechęcony wraca do Valenciennes. Ale i tam nie zagraża długo miejsca. Paryż ciągnie go do siebie.

W roku 1712 prezentuje swą obrazy Akademii paryskiej. Nazwisko jego staje się pomalutkę znanym. Wielki mecenas sztuki, Crozat, zaprasza go do swego pałacu, który Watteau przyozdabia swymi malowidłami.

Pobyt u Crozat'a stał się punktem zwrotnym w twórczości artysty. Crozat posiada wspaniałe zbiory sztuki: przeszło 400 obrazów i 19 tysięcy rysunków najsłynniejszych mistrzów jak Rubens, Tycjan, Veronese van Dyck.

Watteau studjuje te arcydzieła, delectuje się zwłaszcza ulubionym Rubensem, kopiuje cierpliwie, — kształcąc w ten sposób swój smak i zmysł artystyczny.

Po rozstaniu się z Crozatem przenosi się Watteau do swego przyjaciela i rodaka Vleughelsa, gdzie wykończy swój słynny obraz „L'embarquement pour Cythere”, otwierający mu w roku 1717 wrota do paryskiej Akademii.



„L'embarquement pour Cythere”

pewne wskazania na przyszłość w odniesieniu do M. P. Z przykrością zauważyć się daje, że społeczeństwo nasze poza jednostkami, wcale nie okazuje zainteresowania się sprawami muzeum. Istnieje cały szereg domów, w których znalazłby się bardzo często jakiś zabytek, posiadający wartość muzealną, a dla właściciela przedstawiający rzecz bezużyteczną. Obowiązkiem każdego Polaka jest rzecz taką złożyć w muzeum, a choćby nawet sprzedać.

Wielkie pole do popisu, ma tu duchowieństwo. Istnieje tyle starych kościołów, z których po pewnym czasie usuwa się czy to stare figury, czy obrazy i t. p. Te rzeczy również nie powinny niszczyć się w łomusach, lecz powlane zająć należne im miejsce w muzeum.

Zauważyłem n. p. w społeczeństwie ruskim i wśród ruskich księży wielkie zainteresowanie się starymi zabytkami. Ruskie muzea regionalne w Samborze, Kołomyży i Stryju, muzea zupełnie niezorganizowane, raczej nawet magazyny, wypełniają się eksponatami, dzięki ofiarności swego duchowieństwa i społeczeństwa. Warto poszperać trochę, wśród starych gratów i znalezione rzeczy, posiadające wartość historyczną i muzealną, dorzucić do skarbicy zabytków kultury.

Tadeusz Kwaśniewski



Watteau: „La boudoise”

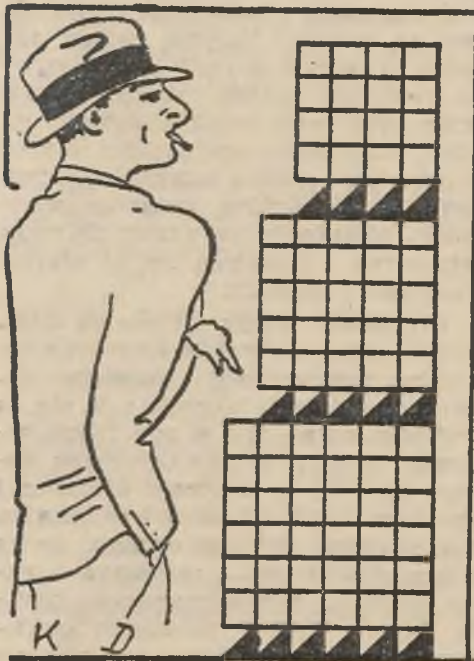
Ze zdrowiem coraz gorzej. Watteau, zaproszony przez jednego ze swych wielbicieli, znanego lekarza dr. Mead'a, jedzie do Anglii, w nadziei, że zmiana klimatu i opieka lekarska przyniosą mu poprawę. Nie służy mu jednak mgła angielska, — wraca tedy do Paryża, gdzie znajduje gościnę u właściciela salonu obrazów, Gersaint'a, z którym łączy go wkrótce szczerą, bezinteresowną przyjaźnią.

Z tego okresu czasu datuje się jego arcydzieło „L'enseigne de Gersaint”, zakupione później przez Fryderyka Wiel-

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Kwadraty magiczne

(ułożył „Kade”)



I. Złuda. — bóg miłości, — stolica europ., — mocny trunek.
II. szopa, — bogini grecka, — „anizmuz”, — elektroda. — mieszkaniec Honolulu.
III. Sprzęt pokojowy, — „dyletant”, — prowincja hiszpańska, — wzorzysta tkanina (wspak), — wskazówka, informacja, — miasto nad Wołgą (wspak).

Szarada

(ułożył „John Ly”)

Dosyć obficie słotami letniemi raz - pięć - słodmi — a raczej pławieni — wierzymy w jesień, że może na ziemi przecież pogodę na lepszą nam zmienić...
Łagodnie ciepło jesień z sobą, czwór - sześć
Srebrna się przedza dwa - pięć i zaczepia o rozłożyste jablonie i grusze, które soczysty owoc pooblepia...
Słonko przez mgły się sześć - pięć, jak przez sito,
i coraz później rankiem ziemię dwa - trzy — ziemię, w poważną zadumę spowita,
bowiem z uniem każdym puls jej życia słabszy...

Łamigłówka

(ułożyła Fr. G. ze Lwowa)

Złoty — sus, tren — tura, miecz — dog, tren — Olaf, tron — lama, tunel — pan, Oslo — zgon, Leon — smok, tran — kra, żaba — gore — kram — poty, miska

— alt, atom — kupa, bieda — łyk.

Z każdej pary wyrazów należy odjąć po dwie litery (po jednej z każdego słowa), — zaś z pozostałych liter utworzyć 14 nowych wyrazów o następującym znaczeniu:

1) dostojnik wiejski, 2) opłata dzierżawna, 3) samolubstwo, 4) biała broń, 5) „miłośnik”, 6) bóg morza, 7) badacz zwierząt, 8) oficjalista wiejski, 9) dawna nazwa kawalerzysty, 10) dom zajezdny, 11) sprzęt rolniczy, 12) rodzaj wędliny, 13) ubiór małomieszczanina, 14) dosięgalne tylko w marzeniach.

Początkowe litery nowych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Szarada podróżnicza

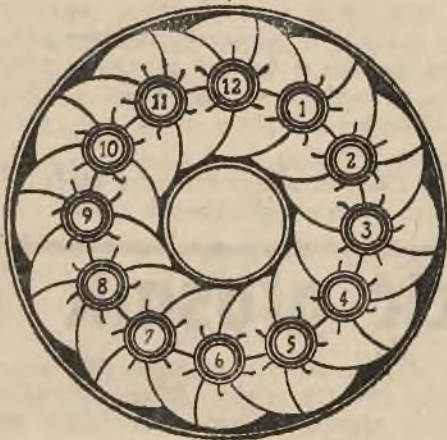
(ułożyła „Arja”)

W podniebne chcesz się wznieść raz - czwarte,

to w aeroplan siadaj, bratku!
Gdy morze nęci cię otwarte,
to z trzy - pierwszego dosiądź statku!
Gdy już o jeździe trzecie - pięta,
może i furka bylejąka
z wiejskiego w świat cię wywieźć kąta,
gdy nie stać cię na „Cadillac”...
(Aby zaś jazda się udała,
to się porządnie dwa - pięć konie...)
Pozatem nas obwozi cała,
jeśli przyczepim wozy do niej.

Kółeczka

(ułożył „Perkun”)



W kółeczka należy wpisać dwanaście wyrazów pięciosylabowych o niżej podanym znaczeniu, w kierunku ruchu wskazówki zegarowej. Początek wyrazów do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazów: 1) Wybitny uczyony lwowski, 2) nazwa małego folwarku, 3) imię męskie, 4) prowizoryczna budowla, 5) „kiesa”, 6) imię męskie popularne w Skandynawji, 7) rodzaj zboża, 8) duża łódź, 9) nazwa stylu budowniczego, 10) jedna z połudn. prowincji polskich, 11) miasto na Śląsku czeskim, 12) „następnie”.

Ze świata książki

Wł. Wagner: „Podług słońca i gwiazd” (wyd. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1934). Książeczka niewielka, jakże miła w swej bezpretensjonalnej prostocie! Autor, młody harcerz z Gdyni, spisuje dzienniczek swej podróży. A podróż to niecodzienna: na małym 9 mtr. jachcie, przero-bionym ze starego kutra rybackiego, samowtór, a potem samotrzeź opływa brzegi Europy od Gdyni do Lizbony, siamrad do Dakar, by przez Atlantyk dostać się na drugą półkulę.

Wyprawa śmiała i ciekła, do jakiej zdolny jest tylko entuzjazm, silna wola i odwaga młodzieńcza. — wyprawa, dzięki której polska bandera pojawiła się niejednokrotnie po raz pierwszy w odległych, obcych kątach świata.

Dobra to i polecenia godna lektura, zwłaszcza dla naszej młodzieży, która czytając tę książkę przypomni sobie słowa naszego wieszczka, że „zapal tworzy cuda”...!

Podkreślić trzeba bardzo estetyczne i staranne wydanie tego dziełka, za które honorarium posłuży autorowi do nabycia nowego jachtu i dokończenia swej śmiałej podróży naokoło świata.

Otwell Binns: „Tajemnica Kłotyldy”, powieść. (Wyd. „Biblioteka Kresowa”, Lwów, 1934). Powieść ta zdolna zaspokoić wymagania najwybredniejszych miłośników lektury sensacyjno-kryminalnej.

Wartkim pradem toczy się jej akcja, przenosząc czytelnika z Londynu i jego okolic na słoneczną Riwierę, gdzie wreszcie następuje jej tragiczne w swej grozie rozwiązanie. Przeciwia się przed nami bogata galeria niebezpiecznych opryszków i zbrodniarzy, w których ręce wpadł genialny wynalazca, niemilosierdzie szantażowany. A na tem ponurem tle wykwiła cudny kwiat miłości młodego Anglika, bohatera powieści, do córki nieszczęśliwego wynalazcy.

Powieść ma posmak specjalnej aktualności, w grę bowiem wchodzi momenty, mogące doprowadzić do groźnych powikłań międzynarodowych.

Z zupełną słuszością można w odniesieniu do tej powieści: użyć tradycyjnego określenia, iż czyta się ją jednym tchem, z wciąż wzrastającym zainteresowaniem. (kr.)

DR. ZOFJA LISSA: „ZARYS NAUKI O MUZYCE” LWÓW 1934. Na półkach księgarskich pojawiła się książka, która — jak na dzisiejsze ciężkie warunki wydawnicze — jest poniekąd „białym krukiem”. Jest to nowa polskie dzieło muzyczne: „Zarys nauki o muzyce” Dr. Zofji Lissy, która z wielkim i mozolnym nakładem pracy, ujęła wszystkie niemal zagadnienia muzyczne, w formie treściwych, objaśniających ustępów, wprowadzając logiczny podział materiału i należytą jego segregację. Zalecą podręcznika tego, wskazany bardzo dla uczniów szkół muzycznych, jest jego wszechstronność.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do środy 31 października br.

Za trafne rozwiązanie do wylosowania interesująca powieść z ostatnich nowości beletrystycznych.

ROZWIĄZANIE ZADAN Z NR. 278

Wirolog: Aktor — rabat. Marazm — mrok, Ojciec — czek, Kable — egida. Proca — arena, Kanin — netto, Rywal — Lenin. Wgląd — denat. Slucz — zakon. Ocet — taczka, Krach — honor, Koniak — kruk, Marat — tratwa, Ojców — Wawel. Piłnik — kupi. Kret — tuleja = Kajdany ducha rwij!

Rebusik: Zmiana warty.

Łamigłówka: Miłszy własny domek, niż cudze pałace.

Figielek: Strawa — trawa.

Arytmograf: Październik.

Szarada: Najpiękniejsza szarada, to kochanie.

Igraszki muzyczne: Dolina, Reporter, Minutka, Fagot, Solodrag, Ladaco, Si-kawka.

ROZWIĄZANIA NADESŁALI

Ze Lwowa: pp. Roman H., „Arja”, R. Wit., Ad. Rogozińska, Irka, Sigma, Wład, G., „Biały Cień”, Zetel, Hel. Kowalska, Stan. Krzywobłocka, Irena Dworska, J. Kwiczol, M. Szydłowski, inż. J. W. M. Ruxerówna, M. Angielczykowska, Br. Ostrowski, Eug. Boczarska, Eug. Dworski, Fr. Goldowa, Mich. Łesiuk, M. Zypmuntowicz, W. Smolicka, Eug. Brzechowski.

Z poza Lwowa pp. I. Wilkova (Rzeszów), Marja Potocka (Sanoczek), Tad. Dworski (Sanok), Cz. Murczyński (Kraków), M. Lityńska (Przemyśl), „Olga” (Jarosław), Irena Senze (Żychlin), Adam K. (Przemyśl), „Romek” (Stanisławów), M. Kański (Kraków), M. Alexandrowicz (De-latyn), Em-zet (Przemyśl).

Jak odróżnić dobrą bibułkę papierosową od lichych wyrobów?

O mało którym pewnie przedmiocie codziennego użytku istnieją wśród ogółu tak błędne i niejasne pojęcia jak o fabrykacji zwijek (tutek). Nawet namiętni amatorzy papierosa zwykle mało wiedzą, w jaki sposób powstaje bibułka, a następnie z niej zwijki (tutki). Niektórzy nawet może pomyśleć sobie: „Ot bibułka, cienki papierek zwinięty w rurkę. Cóż taki drobiaz ma za znaczenie, aby mnie mógł bliżej obchodzić?” Wprawdzie palę papierosa, mam jednakże setki ważniejszych spraw abym się mógł zajmować tego rodzaju bałaganką...

Niewątpliwie dużo jest spraw ważnych, atoli całe nasze życie składa się z drobnostek, a drobna nieraz rzecz spowodować może wielkie i bardzo złe skutki. Tu wszakże idzie o ochronę naszego zdrowia, więc zagadnienie chyba dosyć ważne, aby się z nim choć pobieżnie zapoznać.

Otóż do wyrobu pierwszorzędnej bibułki papierosowej winny być użyte wyłącznie włókna czysto roślinne, należyście

Nagrode uzyskała p. M. Szydłowska we Lwowie. Książka jest do podjęcia w naszym Kantorze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Roman H.: Z „kłopotów bibliotekarza” wybrał Pan w sposób bardzo dowcipny i pomysłowy!

Inż. J. W.: Wyrazy „współczucia” komunikujemy autorowi, który widocznie ma dużo wolnego czasu...

M. A. Del.: Zagadka „nie nadaje się. Prosimy o coś innego.

St. Kryzeka: Rozumowanie logiczne i trafne. Niestety na kliszy zamazały się zupełnie szczegółowo zaznaczone w rysunku, co uniemożliwiło rozwiązanie, ku niemałej irytacji naszych „szaradziarzy”. Miał być właśnie dwie serie, wczel dwa wydania.

Józef K.: Cała tajemnica „Krzyża magicznego” polega na tem tylko, że wpisane w odpowiednie kratki wyrazy dadzą się jednakowo czytać poziomo i pionowo.

Ciekawostki radiowe

Rozbudowa włoskiego radja. W Prato Smeraldo znajdują się w budowie cztery radiostacje krótkofalowa, każda o sile 20 KW. Radiostacje te, o różnej długości fali, nadawać będą audycje zamorskie, na cztery strony świata, a mianowicie: dla Ameryki północnej i południowej, dla północnej Afryki i dla Dalekiego Wschodu.

Po przeprowadzeniu całego planu rozbudowy włoskiego radja — wszystkie radiostacje włoskie dysponować będą ogółem siłą 450 KW., — wobec dotychczasowych 190 KW.

Radioamatorzy w Ameryce posiadają nie mniej jak 46390 własnych stacyj nadawczo - odbiorczych, autoryzowanych przez władze, Cyfra naprawde rekordowa, skoro weźmiemy pod uwagę, że przewyższa ona znacznie liczbę wszystkich radioamatorów na reszcie naszego globu.

oczyszczone, a rodzajowo zależne od tego, na jaki gatunek bibułki są przeznaczone. Na pozór bibułek roślinną od nieroślinnej trudno jest odróżnić. Dopiero przy paleniu przekonywujemy się, że licha bibułka nie tylko psuje smak najwyborniejszego nawet tytoniu, ale sprawia suchotę i drapanie w gardle, wywołując nieraz zapalenie błon śluzowych gardła i podniebienia, co nie tylko obniża przyjemność palenia, lecz powoduje również zachorowanie.

W tym kierunku gwarancją dobroci towaru jest jej pochodzenie. Kupując towar, z poważnych i solidnych firm i to takie marki zwijek jak Morwitan, Bon Ton, Korkowe itd. opakowane w pudełka po 100 sztuk, możemy być przekonani, iż nabymy towar naprawdę pierwszorzędny.

Przypominamy Szanownym Pałaczom, że wyżej wymienione marki wyrabiane są przez firmę „Herbewo” Herliczka — Beldowski — Wołoszyński w Krakowie. (x)

Jakkolwiek — w imię prawdy — trzeba zauważyć, że zakradły się do jej pracy przeoczenia i pewne błędy, powstałe niezależnie bez winy autorki, to jednak należy podkreślić dużą wartość tego podręcznika, którego brak w szkolnictwie muz., dał się odczuwać. W dotychczasowych bowiem podręcznikach polskich do nauki zasad muzycznych — są luki pewne, powstałe wskutek rozrostu wiedzy muzycznej a równoczesnego zastoju w piśmiennictwie muz., co zresztą nie umniejsza wartości dotychczasowych dzieł.

—O—

POLSKA OD BAŁTYKU

Z inicjatywy wiceministra komunikacji inż. Bobkowskiego wyszła świeżo mapa przedstawiająca Polskę z lotu ptaka widzianą od Bałtyku tj. od Helu i Gdyni. Województwo pomorskie widoczne jest na tej mapie na pierwszym planie, na dalszym pozostałe województwa aż po Tatry i Karpaty. Autorem obecnej mapy jest p. Tadeusz Zwoliński z Zakopanego. Mapa, wydana w formie afisza, będzie w najbliższych dniach rozwieszona na dworcach kolejowych. Część nakładu w mniejszym formacie w formie książkowej przeznaczona jest do rozprowadzania przez księgarnie.

„ORIENS”

Ukazał się już w zeszłym dwumiesięczniku „Oriens”, pismo poświęcone sprawom religijnym Wschodu. „Oriens” wydaje misja wschodnia OO. Jezuitów, w Polsce a redaguje go ks. Jan Urban T. J. Jego też pióra są wstępne rozważania pt. „Wschód i kultura” podkreślające większą wartość kulturalną katolicyzmu, nad powołaniem i większą zasługą dla rozwoju kultury.

Ponadto na bogatą treść numeru składają się następujące artykuły: Teodora Parnickiego (znanego Czytelnikom naszym z zamieszczanych w „Kurjerze” artykułów i szkiców literacko-historycznych) „Przełom duchowy inteligencji rosyjskiej”, ks. dra G. Kostelnika „Unici w Jugosławiji” (ciekawa informacja o kolonjach ruskich w Bośni i Banacie), Zofji Micharewej „Myśl cerkwi starożytności Rusi” — treściwy przegląd zabytków budownictwa cerkiewnego z epoki przed najeściem Mongołów, ks. A. Niemancewicza „Wspólny front” (o potrzebie solidarności katolicyzmu i prawosławia w zwalczaniu bezbożnictwa), Józefa Olszka „Przełom w Japonji”. Treści pisma dopełnia szereg krótkich notatek informacyjnych i varia. Na podkreślenie zasługuje staranna szata zewnętrzna „Oriensu” (t. u.)

SPRAWY MORSKIE I KOLONIALNE

Ukazał się pierwszy numer ilustrowanego kwartalnika poświęconego sprawom morskim, kolonialnym, migracyjnym i żeglarskim, o tytule „Sprawy Morskie i Kolonialne”.

Obok miesięczników „Morze” i „Polska na Morzu”, rozchodzących się w łącznym nakładzie 230 tysięcy egzemplarzy, jest to już trzecie czasopismo wydawane przez Ligę Morską i Kolonialną pod redakcją J. Dębskiego.

Pierwszy numer „Spraw Morskich i Kolonialnych” obejmuje 232 strony druku i zawiera szereg cennych artykułów fachowych i literackich, a ponadto bibliografię bieżących polskich spraw morskich, rzecznych, emigracyjnych i kolonialnych.

Mieczysław Piszczkowski: Przyczyny unadku Polski a chwila bieżąca. Lwów — Warszawa 1934.

Świat w ramach

(Reportaż z prowincji)

Dzień, niewytłumowany żadnym zawieszonym hieroglifem, siedzi tutaj szarokamienny, pamiętając dobrze o swoim poprzedniku. Patrzymy na jego oblicze. Zakwefione przezornie przed przybyciem, ukryte przed nim za barykadą z różnokolorowego papieru reklamowego, czteropiętrowego hotelu i przyszłych nadziei, wobec nas korzy się i jakoś traci na fanfaronadzie. Wypadałoby z tkliwym uśmiechem wyrazić uszanowanie temu prostemu dniowi i zdjąwszy marynarkę w upalnym dniu lipcowym, odpocząć „w cieniu zapomnianej olszyny” „miasta mojej matki”. A tymczasem... Tymczasem, jakkolwiek nocą topią się w głębokiej wodzie światła kilku latarni, jakkolwiek aromatyczna pleśń starego zamku, symbolizuje jałową tradycjonalność i twoje pierwsze obłędne kroki, a klasztorny mur potrafi od czasu do czasu pofioletować w umiejętnym kolorze zachodu — brak ci odwagi na sentyment. Metrem dobrego tonu i rozsądku odmierzasz jak najciaśniejsze miejsce westchnieniom.

Nie ma szczęścia małe miasto. Nikt nie uplanował mu ulic, nie pomyślał o symetrii architektonicznej. Porządek przypadkowy przemierzany w szeregu lat rozporządzeniami tęgich mózgowców burmistrzowskich, nigdy nie wyjdzie poza określone granice. Jeszcze dwa lata temu wiedzano doskonale, że wieża strażacka — wysoka drewniana buda — jest budowlą, sprzyjającą wszelkim pożarom, a magistrat — to podłużna szopa, w której tajemniczym mroku źle się czuł nawet najuczciwszy człowiek. Dziś miasto posiada muirowaną wieżę i magistrat, a nawet most żelazny conajmniej na sto lat. Zmienił się charakter miasta. Solidniejsze. Elegantsze. Tylko, niewiadomo dlaczego, skromny graniastosłup nazywa się wieżą, skoro z jego wierzchołka widać tyle, co z dachu sąsiedniej dwupiętrowej kamienicy. Magistrat w niesmacznym stylu, most znowu zbyt pompacyjny. I tak, ta metamorfoza, dla której fatalność ustanowiła piętno nieudolności, trwać będzie chyba zawsze. Nieudolność czyha na każdego, kto pragnie działać w atmosferze małego miasta. Na architektów i na poetę, na defraudanta i przedsiębiorców kinowych. Nie wiedzą o tem ludzie, idąc wolno ulicami. Odczuwają podświadomie, że należy iść wolno. Tam, gdzie niebo usiadło na skale z białego piasku, widnieje kres wędrowek. Ostatnia rzeczywistość. Ostatnia fikcja. A później jest tylko mur z kolczastego drutu, do którego nikt się nie śpieszy. Czasem ktoś przepędzi przez miasto, aż przechodnie staną i poczną na chwilę myśleć. Potem idą dalej. Wiedzą, że ma się znowu dokonać bezużyteczny

trud przerwania drutów. Idą do domów na obiad, by potem, podczas popołudniowej drzemki, wdychać wonie kwiatów przez okna otwarte na małe ogródki. — Wieczorem ma przyjść stolicie fortepianów, a nocą... Nocą pójdziemy z woskowymi latarkami na zwilżony rosą ogród, aby wychwycić rozpełznięcie w ciemności tłuste, duże glisty. Wybieramy się przecież na rybne czaty. Długimi tykami wędek zarzucimy bezzęlestnie otwór w czarna, nocną wodę.

Ciagniemy topocące się iluzje.

Miasto ma ulicę pachnącą naftą i śledziami. Na kamieniu chodników widnieją ciemne, okrągłe plamy, które barwnie krążą dokoła sklepów, sklepików, zamykając tęczową obrysą mikroskopijne centra ruchu miejskiego.

Przy innej znowu ulicy, uznanej powszechnie za pryncypalną, spiętrzy się nad nami pompacyjną grą kolorów szeregi reklamowych szyldów. Nad jedną szyba wystawowa: — „Magasin de nouveauté” — gdzieindziej: „Chic de Paris” i „Variété” — napis na dużej, lustrzanej tafli, opustoszałego dziś teatryku i baru. Pogoni pieścizłotliwie krzyk gawieciarza, oszołomi ryk syreny samochodowej, notariusz przepędzi z dumą swoim własnym motocyklem, ale wszystko to razem nie wprowadzi nas w błąd, nie oszuka. Ale zato oszuka nas co innego.

Będzie to w lipcu — miesiącu, w którym ludzie wszystkich miast niktą z powierzchni ulic. Określone miasto ma jednak wtedy kilka dni, pulsujących mocnym, egzaltowanym życiem. Dorocznym zwyczajem odbywa się tu targ, albo

jeśli kto woli — jarmark. W przededniu, miasteczko czeka z napięciem. Zaczyna się od zwożenia i znoszenia drewnianych pak, desek, belek, żelastwa i rupieci. Montuje się wszystko naprędce, wśród ożywionej rywalizacji o najlepsze miejsce, aż po nocnych, a tajemniczych przygotowaniach, jak niepojęte czarodziejstwo, wystrzeli rankiem wschodnia wielobarwność. Załopocą na wietrze jaskrawe sztandary tkanin, zafalują żywymi wstęgami pod błękit, utworzą drgające palankiny dla przechodniów. Jeden opętany okrzyk polecą od straganu do straganu, zapali wici autoreklam. Wszędzie natkniemy na osobliwość, ba! nawet na cudowność. Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś o stanie swego serca, wotroby lub płuc, wędrowni mag za niewielką opłatą poda ci szklaną retortę, w której czerwony płyn pod dotknięciem ręki, niezbadanym sposobem będzie się wznosił lub opadał. Horoskop określi przyszłość. Niebieskie mydełko w mig wywabi najniebezpieczniejsze plamy na ubraniu, a już zdumiejesz się naprawdę, gdy w płócienną budzie, ujrzyś żywą i mówiącą głowę we flakonie. Magia porwie cie i pochłonie, zanurzysz się w niej jak małe dziecko — ty sceptyk i pogardliwiec wielkomiński.

Wec chodź szalona głowo, zapanbrat z kuglarstwem, alchemią, brudem i tandetą. Za jedynę dziesięć groszy całe niebo z gwiazdami. Spędź z ust zjadliwy uśmiešek i dawaj się oszukiwać... oszukiwać...

A kiedy doznasz tych złud, kiedy n Kupisz wielu niepotrzebnych rzeczy i na-

Gdzie umieścić głośnik

Przy wyborze miejsca na głośnik, należy kierować się zasadą, by słuchający zawsze znajdował się nawprost jego membrany. Umieszczanie głośnika na szafie lub zawieszanie pod sufitem jest więc niewłaściwe. Dźwięki zyskują na wartości, naturalności i wyrazistości, jeżeli głośnik znajduje się mniej więcej na wysokości półtora metra nad podłogą, gdy słuchamy w pozycji siedzącej, a około pół do trzech czwartych metra, gdy słuchamy na leżąc. Można przekonać się łatwo, że najlepszy efekt osiągną, gdy środek membrany znajduje się na wysokości naszego ucha.

Często umieszczanie głośnika w ro-

gu pokoju, ukośnie do ścian, daje przyjemny dla ucha efekt. Duży wpływ na jakość reprodukowanych dźwięków ma tłumienie, o czym można przekonać się, umieszczając głośnik w pustym pokoju, a następnie w takim, gdzie znajduje się dużo draperyj, dywanów, firanek, wyściełanych mebli i t. p. Echo w pierwszym wypadku może być tak duże, że dźwięki mowy stają się zupełnie niewyraźne, natomiast w drugim, audycja wypada cicho.

Trudno jest zgóry określić, jakie miejsce dla głośnika w pokoju będzie najodpowiedniejsze i dlatego należy wykonać szereg prób.

TELE-RADJO, M. Kubiszyn i Ska

Lwów, Chorażczyzny 7

1663

Telefon 5.23

Odbiorniki i głośniki wszystkich marek po cenach konkurencyjnych

Lekarz-dentysta
TADEUSZ SZANIAWSKI
były st. asystent Uniw. J. K.
Lwów, Piłsudskiego 11a tel. 75-99. 1755

sycisz się rozgwarem jarmarcznym, pójdź kasztanową aleją, przez młodzieńki park za miasto. Najlepiej wtedy, gdy słońce zawędruje na zenit, a pożar ogarnie trawę. Za miastem rozciąga się spadzisty ugor, pełen bródz, wgłębień i rowów, pozostałości po wielkiej wojnie. Z ugoru tego wojsko uczyniło pole ćwiczeń. W dni pogodne wychodzą czworoboki, prostokąty i węże szaro-zielonego żołnierstwa i rozsypują się po płasko-wzgórzach i okopach.

Przywaruj wtedy płasko do ziemi. Ujrzyś może, jak metrowa warstwa powietrza, nagrzanego od rozpalonej ziemi, będzie drgać i falować, a w niej to wszystko, co wejdzie w pole twego widzenia: drzewa, krzyże cmentarne, dalekie chaty i ci ćwiczący żołnierze. I choć wiesz, że w tej chwili wykonują oni twarde ruchy, sztywnie obracają się za głosem dowódców — rozdrzana warstwa powietrza przeinaczy surową prawdę. Zwroty, wypadki, poruszenia karabinami, każde niemal drgnięcie stanie się płynne i miękkie jak w balecie.

Balet ołowianych żołnierzy. Lipcowa fantazja. Zda się przestaje wtedy istnieć świat. Wszystko, co rzeczywiste, ucieka, aż staje się nieznaczną kuleczką na widnokręgu. Ale widzisz ją i patrząc na nie-reala wzię baletu ołowianych żołnierzy, trzymasz jednocześnie na uwierzy znikającą rzeczywistość.

Nie ucieknie daleko. Zatrzymają ją poźółtkie, zjedzone przez mole ramy, które somnambulicznie opasują małe miasteczko, akwarelę malowaną cierpliwie przez lat czterysta zgórą.

Akwarela ta, ten obrazek zamknięty ciasnymi ramami jest dla ciebie, marnotrawny synu, czy wędrowcze, świątynią zastłuchania i spokoju. Dlatego złam i zniszcz ów metr dobrego tonu i rozsądku, a przyjdź o takiej porze dnia, abyś ujrzał to, czego najbardziej pragnie twoje tęskniące serce.

STANISŁAW ROGOWSKI.

Radjowa Sensacyjna Nowość

1695

Odbiornik amerykański „PICCOLO” 5-cio lampowy do sieci 110—220V na prąd zmienny i stały, z głośnikiem dynamicznym — bez anteny i ziemienia. Nadzwyczaj selektywny. Zasięg całej Europy. Warunki kupna najdogodniejsze. — Odbiornik wysyłamy do próby w domu. — Wylączna sprzedaż w firmie **BARWIK & BORZEMSKI** Lwów, ul. Kopernika 18 Tel. 18-60.

EARNEST HOLM

„Ślepy Jack”

Wieczorem tego dnia, gdy Larry rozwiązał pierwszą zagadkę wypadku Stuart'a, siedział Fred sam w wspaniałym mieszkaniu i rozmyślał nad teorią, która wytworzyła się w związku z jego spostrzeżeniem rano. Ludzie jego pokroju, z niepewnym zawsze widokiem na przyszłość, cierpią na chroniczne niezadowolenie. Owo niezadowolenie jest po większej części powodem, że zbaczają z wąskiej i prostej ścieżki cnoty i może jest właściwym powodem ich nieszczęścia. Sto funtów miesięcznie, pomnożonych przez rok, jest bezsprzecznie ładnym dochodem; nie jednak bardziej nie odstrasza światła oszustów i włamywaczy niż solidarność, regularność i systematyczność — trzy właściwości, które tak ściśle są związane z życiem więziennym, że tym, którzy byli już karani, przypominają zapachem przykre chwile.

Tysiąc dwieście funtów rocznie w przeciągu pięciu lat daje okrągłą sumkę sześciu tysięcy funtów, albo przy obecnym kursie dwadzieścia cztery tysiące dolarów. Lecz pięć lat stanowi silną lukę w życiu takiego człowieka, jakim był „Błyskotliwy Fred”. Tysiąc dwieście funtów pozwala jednak tylko dwukrotnie na maksimum w trencie et quarante i można je stracić w przeciągu niecałych trzech minut.

Dr. Judd był zbieraczem. Fred dowiedział się, że m. dra Judd'a w Chelsea był skarbcem obrazów i antycznych ozdobnych przedmiotów. Fred wyczytał w jakiejś gazecie sprawozdanie, że dr. Judd był w po-

16

siadaniu historycznej biżuterii, której wartość przekracza sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów. I jeśli nawet Fred nie miał zupełnie zainteresowania dla historii, to był niezwykle czuły na wartość drogiego kamienia i teorii, która stworzył rano, w pierwszej linii leżała na poziomie arytmetyki. Gdyby więc potrafił w przeciągu dwudziestu czterech godzin uporać się z kosztownościami, wartości dziesięciu tysięcy funtów, miałby nie tylko zapewniony byt na ośm lub dziesięć lat, lecz mógłby sobie też oszczędzić trudu przyjazdu przez wszystkie dwadzieścia miesięcy do Londynu, by kazać sobie wypłacić „honorarium”. Wiele to rzeczy mogło się wydarzyć przez dwadzieścia miesięcy! Jak łatwo mogłoby się wydarzyć, że wogóle nie mógłby przyjechać! Dyrektorzy więzień są ludźmi tak mało dostępnymi. A może przez ten czas nie żyłby i byłby już pogrzebany!

Naturalnie kosztowności te trudno było dostać w ręce, ponieważ doktor nie należał do ludzi, którzy nie pilnują swojej własności. Zwyczajne metody, by uzyskać nielegalny dostęp do domu doktora, kolidowały z zasadniczymi metodami Freda. Środki do życia zdobywał dzięki swej wymowie i swej błyskawicznej szybkości, z jaką jego komórki mózgowe umiały dostosować się do każdej, najmniej czekiwanej sytuacji. Łom żelazny był dla Freda wstępnym narzędziem — a jednak ucieleśniał dlań pracę. Ale była też inna droga — a skoro uda się mu porwać łup, czy doktor zrobiłby przeciw niemu doniesienie?

Popołudniu włóczył się Fred bezcelowo przez Piccadilly Circus, aż nagle spostrzegł przed sobą wysokiego, silnego mężczyznę, który, spojrzawszy w jego stronę usiłował zybko minąć go. Fred chwycił go za ramię i przytrzymał silnie.

— Czy to nie kochany, stary numer 278? Jak się powodzi, Strauss?

Twarz Mr. Strauss'a drgnęła nerwowo.

— Zdaje mi się, że pan się myli, — rzekł.

— Nie pleć głupstw, — rzekł Fred, niezbyst elegancko i pociągnął go w kierunku Lower Regent Street.

— Przepraszam pana, że nie od razu go poznałem, — zaczął niespokojnie Mr. Strauss, — myślałem, że jest pan tajemnym — szpiclem.

— Nie, jeszcze nie, — odrzekł Fred. — No i jak ci się powodzi tutaj, w pięknej Europie? Czy przypominasz sobie jeszcze galerię G w Portland blok B?

Twarz tegiego mężczyzny znowu drgnęła nerwowo. Gdyby nawet naprawdę nie miał nic przeciw swemu dawnemu sąsiadowi z celi w Portland, to już samo wspomnienie o przeżyciach w więzieniu, musiały być mu niemiłe.

— No, jak się panu powodzi? — spytał. — Przypadkiem tego ranka Fred wyszedł ubrany skromnie i nie miał ani jednego brylantu — zapewne schował wszystko w tylnej kieszeni spodni. Dziś nie można nikomu wierzyć.

— Żle, — kłamał. Żaden prawdziwy oszust nie przynosi się, że powodzi mu się dobrze. Potem jednak spytał nagle.

— Dlaczego myślałeś, że jestem szpiegiem?

Widocznie pytanie to było nie na ręce Strauss'owi, więc odrzekł powoli:

— Ach, myślałem tylko tak.

— Zawsze jeszcze pracujesz starymi metodami? — spytał Fred i spostrzegł niespokojny błysk w oczach towarzysza.

(C. d. n.)

kiego do Berlina. Arcydzieło, namalowane w ciągu ośmiu dni, przez człowieka już wówczas ciężko chorego, gorączkującego, plującego krwią.

Na domiar złego przychodził w tym czasie głośnie bankructwo bankiera Law'a, — w następstwie czego Watteau traci cały swój niewielki majątek.

Gersajnt wysłał go na wieś, do Nogent-sur-Marne. Choroba czyni jednak zastraszające postępy i Watteau umiera dnia 18 lipca 1721, na rękach swego wiernego przyjaciela.

Watteau miał opinię mizantropa, odludka. Przewrażliwiony, nerwowy, łatwo pobudliwy, nie łatwym był w pożyciu. Uspokojenie to było konsekwencją nieuleczalnej choroby płucnej, z którą napróżno starał się walczyć.

I przed tą smutną, bolesną rzeczywistością szukał Watteau ucieczki w świecie marzeń. Wszystkie niemal jego

dzieła, — to hymn pochwalny na cześć życia, szczęścia, beztroskiej miłości na



Watteau: „Polka“

tle clenistych parków, przy dźwiękach lutni, czy w feerycznym oświetleniu rampy teatralnej.

Choć z pochodzenia flamandzkiej, choć pozostawał pod silnym, niezatartym wpływem i urokiem sztuki flamandzkiej i weneckiej, — stworzył Watteau swój własny styl, nacechowany typowo francuskim wdziękiem i „esprit“.

Wycisnął własne, charakterystyczne piętno na sztuce francuskiej ośmnastego wieku, otwierając twórczością swą nową epokę w jej rozwoju.

Niedoceniany przez współczesnych, lekceważony niemal na przełomie ośmnastego wieku, doczekał się Watteau rehabilitacji i należytego uznania dzięki braciom Goncourt, którzy też pierwsi zajęli się gruntownym opracowaniem całokształtu jego twórczości artystycznej. (R.)

Jeszcze jedna sztuka o Napoleonie

R. C. Sheriff zdobył sławę i majątek jedną sztuką, sławnym „Kresem wędrownym“, grany w Polsce. Szalone powodzenie rozbudziło w autorze nadmierną ambicję. Czuł się wielkim dramaturgiem i wyrażał się z przekąsem o Szekspirze. Tymczasem dalsze utwory Sheriffa nie spełniły nadziei, jakie do nich przywiązywano. Najwidoczniej „Kres wędrownym“ należał do bardzo licznych we wszystkich krajach literackich szeregu utworów, które podyktowały przeżycia wojenne i podniecenie olbrzymimi zapasami lat 1914—1918. Autorzy umieli świetnie wcielić w formę powieści czy dramatu własne spostrzeżenia i uczucia. Książki ich oświecały żywością i prawdą. Ze były jedynie wiernym pamiętnikiem, czy fotografją, nie zdawano sobie sprawy. Autorzy rozkoszowali się zyskaną sławą i wierzyli we własną genialność. Lecz talent ich nie był zdolny przeżyć następnej próby — okazywał się przeciętnym, gdy brał się do opracowywania tematów, nie stanowiących treści ich życia i nie wstrząsających uczucio-wo ich całą jaźnią. Mniemany geniusz okazywał się co najwyżej dobrym rzemieślnikiem.

Potwierdzenie tego poglądu co do Sheriffa stanowi wydany obecnie (a jeszcze nie grany) dramat „Święta Helena“. A więc człowiek, którego uważano za mistrza techniki scenicznej, nie zaczął nawet od przedstawienia nowego utworu i wolał na razie druk od ogniowej próby sceny.

Na karcie tytułowej figuruje jako współautorka Jeanne de Casalis, znana artystka dramatyczna. Zdaje się, że przyczyna zawijazania spółki była po stronie Sheriffa nieznaną języka francuskiego. A uznał za konieczne przestudiowanie niezliczonej ilości opracowań historycznych i pamiętników. Metoda ta dała znowu — fotografie rzeczywistości, ale takiej rzeczywistości, jaką widział z oddalenia setki lat zgóra Anglik, obciążony uprzedzeniami swego narodu i pojęciami swojej epoki, niezgodny do rozpalenia się tematem.

Już sam wybór epoki z życia Napoleona jest charakterystyczny. Sheriff nie przedstawił go ani dobitnie, ani słabo, na włoskich pobojowiskach, ani upojonej sławą i władzą u szczytu powodzenia, ani broniącego rozpaczliwie ojczyznę i tron po wyprawie do Moskwy. Jakgdyby nie chciał wydobyć z postaci cesarza pierwiastków wielkości, jakby umyślnie szukał sytuacji, które pozwoliłyby mu pomniejszyć olbrzyma.

Jego Napoleon to człowiek, który przeżył swoją wielkość, a nie umie o niej zapomnieć. Prowadzi ustawiczną walkę z gubernatorem wyspy. Gdy ten zarządził, iż cesarz, przekraczając podczas przejażdżki konnej czy przechadzki pewien określony obszar, musi mieć przy sobie ordynansa, Napoleon dobrowolnie rezygnuje z ruchu — i to jest po części przyczyną jego zgonu. Zajmuje się swym ogrodem warzywnym i wybucha radością, gdy uda mu się

mimo żaru słońca wyhodować sałatę. „Teraz jesteśmy samowystarczalni!“ woła na widok jej zielonych listków. Znosi lekarza Irlandczyka, dawał mu się badać i przyjmował jego lekarstwa. Gdy jednak O'Meara odesłano do Europy, Napoleon buntuje się przeciw opiece Anglika i zadowala się radami Włocha, który przybył z Korsyki. Antom-

marchi jest pełen uwielbienia, ale na medycynie zna się nieszczerze.

Jednym słowem postępowanie Napoleona u Sheriffa przypomina wybryki upartego chłopca, który robi na złość niesympatycznemu nauczycielowi. Co pewien czas jednak przerywa tę pozabawioną wyższych motywów walkę gwałtowny wybuch prawdziwie cesarskiej

„Eros i Psyche“ w radjo

Opera jest — zagadką, którą, wbrew takim, czy innym doktrynom, rozwiązuje jej życie, tak bujne i bogate. Istota tej formy leży bowiem w szeregu wewnętrznych sprzeczności, i one to właśnie, powiedziałbym, utrzymują ją przy życiu. Niema człowieka, któryby równomiernie odczuwał całokształt opery, który równocześnie śledziłby mógł muzyczny przebieg symfoniczny i wokalny, a zarazem przeżywał równie intensywnie napięcia dramatyczne na scenie i równie silnie reagował na podniety wzrokowe dekoracji; ale niema chyba także takiego, któryby nie zawdzięczał operze wzniosłych przeżyć artystycznych, u którego konflikt, tarcie połączonej sztuki nie krzesaloby iskier szczerzego entuzjazmu.

Gdy więc w obecnym sezonie nastąpił radosny fakt upaństwowienia stołecznej sceny operowej, notuje bilans naszej kultury ogromnie ważną pozycję. Rów-

nocześnie trudno jednak lwowianom ukryć tęsknotę za ową fascynującą siłą opery, która najszerzej ogół ku sobie nęci i przyciąga, tęsknotę za własną sceną operową i — wstyd. W tej smutnej dla Lwowa sytuacji była transmitowana inauguracja sezonu operowego w Warszawie wydarzeniem szczególnej wagi: umożliwiając udział w uroczystym przedstawieniu „Erosa i Psyche“ całej Polsce, okazało Polskie Radio chwalebne zrozumienie wyjątkowego położenia opery polskiej, dla której, po za stolicą nie ma dziś przytułku w teatrze polskim. Zapewne, transmisja opery zgola nie zastąpi przedstawienia teatralnego; pomijając nawet brak strony wizualnej, tak dotkliwy, gdy idzie o operę, i zawsze w pewnym stopniu wynikające deformacje dźwiękowe (barwa instrumentów), musi się przede wszystkim wskazać na poważny niedostatek, pod którym cierpią transmisje z teatru: wynika on stąd, że śpiewacy, zmuszeni akcją sceniczną,

dumy. Te sceny stanowią pewne urozmaicenie. W jednej z nich widzimy Napoleona, przyjmującego korsykańskich gości. Sądziwi książę pragnie go pobłogosławić na pożegnanie. — Jeżeli sądzisz, że ci to dobrze zrobi, to do brze — odpowiada Napoleon.

W ciągu długich dwunastu scen byłoby miejsce na wspomnienia z epoki wielkości Napoleona. Podniosłyby one nastrój do wyżyny tragedii dziejowej i równocześnie wytworzyły dobry efekt przeciwstawienia. Sheriff jednak dość rzadko i nieskutecznie korzysta z tego środka artystycznego, który się sam narzuca. Jego sztuka jest właściwie tylko kroniką dramatyczną i to kroniką rzeczy małych z wielkim człowiekiem, jako postacią centralną. Ale i wielki człowiek wychodzi blado na tle małych rzeczy, zresztą było to zapewne tendencją Sheriffa: Miss de Casalis.

„Św. Helena“ jest dramatem niekształtnym, pozbawionym rozwoju akcji od ekspozycji ku punktowi najwyższego napięcia i potem wódł ku katastrofie. Należy się obawiać, że na scenie będzie nużąca.

Jak prawdziwy kronikarz Sheriff zapragnął objąć całość pobytu cesarza na wyspie. Sztuka rozpoczyna się w dwa miesiące po przybyciu wygnanca, a kończy się, gdy leży on na łożu śmierci, skończył właśnie dyktowanie testamentu i każe jen. Marchand'owi czytać sobie, historię wojen Hannibala. Wogóle nie widać u autorów daru selekcji wypadków i motywów, a ten brak równa się brakowi nerwu dramatycznego. W. T.

Radjo siewcą pokoju

W czasach dzisiejszych każde znaczeniejsze zdarzenie historyczne w orbitę swych wstrząsów wciąga również i radjo: opinia, tłumy są przy słuchawkach i głośnikach, a przecież ludzi tych pragnie się mieć po swej stronie.

W tragicznych dniach wiosennych, Francja pragnęła problem ten należycie rozwiązać, w czasie smutnych zajęć wieńskich, śpiewkowcy usiłowali zawiadnąć mikrofonami „Ravagu“ i nawet udało im się nadać wiadomość, która miała okazać się prawdą, a pozostanie nazawsze tragicznym kłamstwem: wiadomość o rzekomej dymisji Dolfussa. Wszyscy wlemy, jaka rolę odegrało radjo podczas ostatnich wypadków w Hiszpanji. Separatystyczny rząd kataloński nieustannie wzywał przez radjo katalończyków do wytrwania w walce, Rząd madrycki, nadając przez radjo co kilka godzin komunikaty o sytuacji, zapobiegał szerzeniu się nieprawdliwych poglądów i informowanie o istotnym stanie rzeczy.

Do zrobienia zamachu stanu radjo nie wystarczy. Rządy baczą, by w razie czego czynnik niepowołany nie szerzył zamieszania i paniki, lecz czy wypadki wiedeńskie nie zwróciły czynnikom miodajnym różnych krajów europejskich, uwagi na rozgłoszenie niezależne i w potężnych, wpływowych rękach się znajdujące? Tam gdzie istnieje jedna stacja

rządowa, lub kilka przez rząd ściśle kontrolowanych, tam kwestja ta jest właściwie nieaktualną, są jednak kraje takie np. Francja, gdzie trudno byłoby o kontrolę, o neutralizację, wobec promieniujących z anten głosów, mających u słuchaczy pełne zaufanie.

Podczas zamieszek lub zamachów stanu, nienawistnie wybucha zewsząd. Należałoby życzyć sobie, aby radjofonja współpracowała w niesieniu pokoju ludziom dobrej woli. Nad światem unosi się dzisiaj wiele rozkiełzanych namiętności. Wiemy aż nazbyt dobrze, jaka w obecnej godzinie sroży się bieda.

W takich czasach, w jakich dziś żyjemy, nie wolno radjofonji uważać jedynie za rozrywkę. Ten głos, który płynie po falach eteru powinien nieść wszystkim pokrzepienie, wpajać wiarę w przyszłość, budzić przedsiębiorczość. Nie mogą to być suche teorie, mądrości zimne, lecz pożyteczne refleksje, rozjaśniające umysły, siejące pomysły zdrowe. Radjofonja winna być siewcą pogody, optymizmu, winna pełnami otuchy słowy podnosić ducha, winna barwnymi opisaniami wtajemniczać masy w to, co i gdzie działo się.

Polska radjofonja od pierwszych dni swego istnienia zadanie to spełnia jaknajwierniej i choć pod względem rozwoju, liczebności słuchaczy stoi w tyle za radjofonją bogatszych krajów, pracą swoją może innym tylko za przykład służyć.

E-OL.

zbliżają się i oddalają od mikrofonu, powodując w odbiorze radiowym zmiany dynamiczne, przykre i muzycznie niezrozumiałe dla słuchacza. Jak bardzo pożądaną by były ulepszenia w tym kierunku!

„Eros i Psyche“ należy do najcenniejszych dzieł Rózyckiego, z czasów świetności kompozytora. Pyszna partytura tego dramatu muzycznego ukazuje olbrzymie bogactwo twórcy: szeroka, rozspiewana linia melodii tworzy pełne poezji nastrojowe pożegnanie Erosa i Psyche (1 obraz), krystalizuje się w szczere dżamenty liryzmu (2 i 3 obraz), choć po trąca czasem już o banalność. W harmonice Erosa i Psyche odegrał ważną rolę Debussy. Siła i ekspresja dramatyczna, wsparte o barwną instrumentację (wpływy Straussa), znajdują świetny wyraz w ekstazie miłosnej (1 obraz), w bacchanale (2 obraz) w ilustracji rewolucji francuskiej (4 obraz), wreszcie w dramatycznie napiętym piątym obrazie. Formę całości doskonale zaokrągla epilog, spełnienie tęsknoty Psyche, przez muzyczne nawiązanie do pierwszego obrazu.

Opera Ludomira Rózyckiego, w której głównymi rolami opiekowały się cenne gardła Fedyczkowskiej, Mała, Perkowicza, otrzymała pod dyktando Dołyckiego świetną szatę muzyczną; poziom wykonania całości odpowiadał uroczystemu charakterowi przedstawienia.

Transmisję z opery warszawskiej witają słuchacze z radością, jako zapowiedź audycji operowych.

B.

Radjo w Antarktydzie. Rząd angielski projektuje wybudowanie silnych radjostacji w Antarktydzie, których zadaniem będzie prowadzenie obserwacji meteorologicznych i komunikowanie biuletynów o stanie pogody. Miałyby to ogromne znaczenie dla komunikacji okrętowej i rozwoju handlu międzynarodowego. Projekt ten zaakceptowały już Indie i Afryka południowa, — prawdopodobnie przyłączy się do tego państwa południowej Ameryki i Australia.

Liczba radjoshononów na Węgrzech według ostatniej urzędowej statystyki, przekroczyła 331 tysięcy.

Taką samą ilość wykazuje też mała Szwajcaria.

Jakże ubogo — w porównaniu z temi cyframi — przedstawia się stan radjofonii w Polsce!

—X—

ŚWIAT KOBIECY

Modne fryzury

Niedawno odbyła się w Londynie międzynarodowa konferencja fryzjerów, na której uchwalono pewne „wytyczne”, normujące i na tem polu tegoroczna modę.

A więc ostatnim krzykiem mody są włosy o odcieniu czerwonym, począwszy od ciemno - kasztanowego aż do rudego... Tak zawyrokowano w Londynie. Czy „moda” ta się przyjmie, to już inna sprawa.

Co się dotyczy samych fryzur, powinny one być dostosowane do ogólnego stylu, pod hasłem „nawrotu do kobiecości”. A więc cała masa figlarnych loczków, stanowiących tak miłe i efektowne obramowanie twarzy.

Włosy nieco dłuższe niż dotychczas, z tyłu podcięte w ten sposób, by nie

zasłaniały zupełnie karczku.

Oczywiście ondulacja obowiązkowa.

Największą różnorodność widzimy we fryzurach wieczorowych: loczki spadające na środek czoła, wijące się po obu bokach główki, — obok tego włosy

ułożone w dżadem nad czołem lub na szczycie głowy.

Efektownie wyglądają przepaski i dżademy ze strassu, często i chętnie stosowane.

Mamy więc szerokie pole do wyboru, a lustro, ten najwierniejszy nasz przyjaciel, co nigdy nie kłamie, — powie nam, jaka fryzura najlepiej nam odpowiada.

—X—

Koronki i hafty

Najmilsze to chyba, takie prawdziwe kobiece akcesoria stroju. Koronki: points de Venise, points d'Alençon, czy te „prawdziwe” przechowywane z pietyzmem od lat kilkudziesięciu, czy dzisiejsze, fabryczne, — jedno i drugie jednak piękne i modne.

Koronkowe kołnierze i żaboty, koronkowe rękawy przy strojnej sukni wieczorowej, obszyta koronkowe przy „capes”, widzi się na każdym kroku.

Co więcej, moda paryska lansuje całe koronkowe toalety, do czego używa się koronek przetykanych złotem

lub srebrnymi niciami, celofanem, naszywanymi palletkami.

Niemniejsem powodzeniem cieszą się też i hafty i rozmaite batik. Moda ta powinna się przyjąć u nas bardzo szybko. Należałoby przytem zwrócić baczniejszą uwagę na nasz ludowy przemysł koronkarski, produkujący tyle rzeczy oryginalnych a naprawdę ładnych!

Byłoby to naprawdę połączenie „przyjemnego z pożytecznym”. Wyroby przemysłu ludowego nabyć można po cenach naprawdę bardzo przystępnych dla każdej kieszeni, — a zakupując je przyczynimy się do ożywienia i rozwoju tej gałęzi przemysłu, niesłusznie dotąd zapomnianej i niedocenianej.

Idźmy więc za nakazem mody, ale pod hasłem popierania przemysłu krajowego! Uważajmy sobie za punkt honoru noszenie koronek, sporządzonych pracowitymi rękami polskich robotnic.



Nowa fryzura, lansowana jako „ostatni krzyk mody” w Ameryce.

FUTRA

damskie, męskie, modernizuje, przeróbki, wykonuje znany z solidności Magazyn i Pracownia Futer Karola Schürera Lwów, Senatorska 11a, tel. 69-56. Dogodne warunki spłaty. 862

Co nosi Paryżanka

— Przedpołudniem kapelusik sportowy, przypominający kapelusze tyrolskie, o główce wysokiej, spiczastej, opasanej wąską wstążką.

— Popołudniu mały toczek, przybrany piórkiem.

— Szalik lub krawatkę, zawiązane wysoko pod szyją, a spięty broszką niemal pod brodą.

— Przy skromnej sukience spacerowej lub sportowej kołnierz wysoki, „oficerski”, sweater zapinany na ramieniu.

— Pod szyją lub na pasku agrafka z metalu lub ze strassu, we formie małych liści.

— Na pasku maleńki złoty monogram lub inicjały.

— Na uszach złote klipsy, również w kształcie liści.

— Rękawiczki w ciepłym kolorze brązowym, z manszetami sięgającymi do połowy przedramienia.

— Kostium tailleur, z dość długim zakłosem z małą baskiną. Spódniczka obcisła, rozcięta z boku, ciemna kamizelka zapinana pod szyją.

— Materiały przeważnie w ciemnym kolorze niebiesko - fioletowym.

Pod znakiem bluzek

Przez lata cała bluzka była skromnym kopciuszkiem, rzadko tylko wychylającym się poza obręb domu.

„Renesans” bluzki rozpoczął się w zeszłym roku, kiedy to w wielkich magazynach paryskich pojawiły się bluzki jako uzupełnienie toalet wizytowych i wieczorowych. Moda przyjęła się nad spodziewanie szybko — i obecnie bluzka króluje na całej linii. Bluzka, do której natchnienie czerpali krawcy paryscy

ze wszystkich stron świata. A więc kasaki i tuniki, i typowe bluzki rosyjskie i bluzki kobiet rumuńskich i reminiscencje szat chińskich mandarynów czy japońskiego kimono.

Jedwab, aksamit, lama, koronki, tafta, czy welna, — wybór olbrzymi.

Krótkie, wysoko pod szyją, zapięte bluzki nadają się do kostiumów spacerowych.

Wielką popularnością cieszą się kasaki, nadające się do każdej sukni, przy czym decyduje tu tylko materiał, z którego są sporządzone.

Bardzo ładnie i efektownie przy czerwonej sukni wygląda kasak zrobiony z koronek, wycięty na ramionach i przepasany szeroką czerwoną szarfą.

Płaszczyk robotą szydełkową

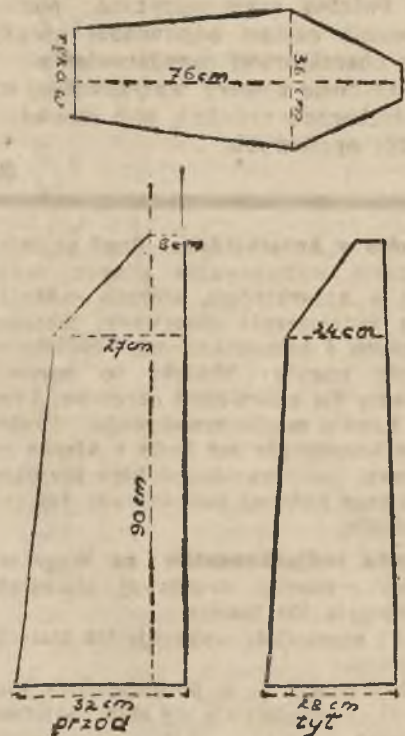
Płaszcz ten, praktyczny a ciepły, nadaje się do noszenia zarówno w jesieni jak na wiosnę. Potrzeba nań 350 gramów włóczki w jednym, a 300 gr. w drugim tonie, przyczem odcienie powinny być odpowiednio, harmonijnie dobrane, a więc n.p. jasno - i ciemno - niebieski, brązowy i beige, brązowy i ciemno - popielaty i t. p.

Patrzymy wycinamy według dołączonego szematu, który można odpowied-

nie zmodyfikować, zależnie od wzrostu i miary.

Robotę zaczynamy stale od dołu, z wyjątkiem kieszeni, które trzeba rozpocząć z boku.

Po zrobieniu wszystkich poszczególnych części prasujemy je gorącym żelazkiem, kładąc każdy kawałek spodnią stroną na wierzch i przykrywając go wilgotnym płatkami. Następnie zeszywamy poszczególne części na maszynie.



FUTRA

damskie, męskie, przerabia, modernizuje, najnowsze modele, wykonuje najstarzej, pracownia Władysława LIGHARA, Lwów, Kochanowskiego 3. 1777

Poradnik dla gospośi

Marmelada i powidła

Dobrze przyrządzona marmelada lub powidła mają tę cechę charakterystyczną dla przedmiotów pierwszej potrzeby, chleba i mięsa, że się nigdy nie przejadają. Jeżeli mówię odrębnie o marmeladach i powidłach, to tylko dlatego, że za pierwsze uważam konserwę tak wyśmażoną, że się daje krajać nożem, jak ser. za drugie, nieco mniej gęste, dające się smarować na chleb. Jak masło lub smalec. Poza tem w sposobie przyrządzania jednych i drugich nie zachodzi żadna różnica. Na marmelady i powidła możemy używać każdego owocu, który mamy w danej chwili i w danej okolicy obfitość i który jest tani.

Cukru na marmeladę bierzemy na kilo już udużonego lub upieczonego owocu najwyżej pół kilo, otrzymujemy z tej ilości całe kilo marmelady. Jeżeli kilo cukru kosztuje 1 zł. 30 gr. czyli dwa czy trzy razy taniej od smalcu i masła, a nawet od zwykłego twarogu. A jak chętnie te marmelady będą zjadały dzieci i ile ona im da zdrowia zimą, kiedy dzieci mlejskie wcale owoców nie widzą.

Pomidory nadziewane ciełeczną

3/4 kg. ładnych, równych pomidorów wymyć i wytrzeć dokładnie, poczem porządkować im wierzchy, wybrać ziarna i sok, nałożyć farszem z ciełeczną mieloną, ponakrywać ściętymi wierzchami, ułożyć na posmarowaną blachę, wolno zapiekaną w piecyku, posypać utartym parmezaniem i skropić masłem.

Mięso do nadziewania przyrządzić w sposób następujący: 30 dkg. ciełeczną zmielić z 5 dkg. słoninki, dodać namoczoną bułkę, ubić jedno jajko, dodać 3 łyżki śmietany, posolić, odrobinkę popieprzyć, wszystko to doskonale wymieszać i przetrzeć przez sito.

FUTRA

nowe damskie i męskie, oraz wszelkie przeróbki według najnowszych modeli wykonuje tanio i solidnie Magazyn i Pracownia Futer Aleksandra Wróbla Lwów, Halicka 20 tel. 57-04. 1175